W numerze: Legendy Szczercowa • Boliwia: żebrak na złotym krześle • Wiktor • Człowiek, który stracił pamięć • Film • TV • Hitchcock opowiada • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosu

TYGODNIK ROK VIII

Nr 27 (343)
11. VII. 1965
10 stron
Cena 1 zł

ANDRZEJ BERKOWICZ

GDYBYM MIAŁ PÓŁ MILIONA ZŁOTYCH

Przed Grandką zatrzymał się nowy, kremowy model Chevroleta, prawdziwy krążownik szos... Elegancki właściciel wozu wszedł do kawiarni i z miejsca skupił na sobie uwagę. Dziewczęta, i te porządne i te nieporządne obrzucały go powłóczystymi spojrzeniami, zdawały się mówić: masz i wybieraj. Mężczyźni, trochę z zazdrością ale zawsze z podziwem, cmokali: ale wózek...

Reporter, człek obcy w tym mieście, a i jednocześnie dość naiwny przez chwilę sądził, że oto jest świadkiem efektownego entrée do łódzkiej Grandki co najmniej księcia Kentu. Nic więc dziwnego, że zapytałem siedzącej ze mną „tubylki": co to za facet?

Zdziwiła się moją ignorancją: nie wiesz, to przecież badylarz z Pabianic, bardzo znana postać... Milioner, ale nie taki totolotkowy, prawdziwy milioner...

1.

Słownik języka polskiego wydany przez Polską Akademię Nauk notuje: **„badylarz — podmiejski ogrodnik, uprawiający warzywa"** i w nawiasie dodaje: „wyrażenie żartobliwe". Słownik zapewne ma rację, ale moja znajoma w określeniu „badylarz z Pabianic" nie dostrzegała niczego żartobliwego, zresztą kremowy Chevrolet to nie są żarty...

Trudno jednak opierać sądy na zdaniu nawet najpiękniejszych dziewcząt, stąd chcąc poznać prawdę o badylarzu, postaci niewątpliwie mocno zmitologizowanej przez wieść gminną, odbyłem szereg rozmów w bardzo poważnych urzędach z bardzo poważnymi ludźmi. Zacząłem od Wydziału Handlu Prezydium MRN, by uchwycić w ogóle skalę problemu, który by można nazwać: **rola i znaczenie badylarza w uspołecznionej gospodarce.**

Sieć uspołecznionych sklepów Łodzi w 1964 roku sprzedała 28 207 ton warzyw i przewiduje się, że w 1965 roku obrót warzywami wzrośnie do 29 734 ton. Skąd biorą się te warzywa w sklepach sektora uspołecznionego? Oczywiście ze skupu i tu dwie ciekawe liczby: skup warzyw i owoców z Państwowych Gospodarstw Rolnych wyraża się w złotówkach sumą **5 663 000** natomiast z gospodarstw indywidualnych **86 000 000 zł,**

Dalszy ciąg na str. 3

Fot. W. Parys

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

FORD-CONSUL podrywacz

Wóz prezentował się okazale. Szeroki krążownik z napisem Ford Consul. Z tyłu, rozrzucone obcojęzyczne prospekty, pusta butelka po Martellu. Magnetofon niedbale położony z mikrofonem na wierzchu ma być wabikiem, ściągającym ludzką ciekawość, a jednocześnie gdyby nam się udało, ma służyć do nagrań.

Z wypożyczeniem wozu nie było trudności. Właściciel zgodził się poświęcić popołudnie i wieczór pod warunkiem, że cały plan dokładnie przedstawię jego żonie,

Idziemy więc do żony.

„Chcę przez dzisiejsze popołudnie i wieczór, gdzieś od godziny 17 do 22 podrywać dziewczęta na Ford Consula. Z pani mężem, który zgodził się poświęcić swój czas i swego Forda". To powiedziawszy czekam na reakcję. „Chcę napisać reportaż. Ubierzemy się przepięknie w koszulki nocne, garniturki odziejemy nowe, by swoim wyglądem pasować do wozu i spróbujemy. Naprawdę nie ma w tym nic złego. Moja żona też się zgodziła."

Ten argument chyba przekonał. Po chwili jesteśmy w wozie. Siadam obok szofera, który otworzył szybę i wystawia przez nią pół lewego łokcia i ruchem lekko zblazowanego globtrottera chwycił za kierownicę. Samochód lekko zakołysał, drgnął swoimi 4 cylindrami i powoli ruszył. Jedziemy ulicą Narutowicza w stronę Piotrkowskiej, przy krawężniku, niewiele szybciej od idących ulicą pieszych. Ta szybkość daje najlepszą możliwość obserwacji, jednocześnie zwraca uwagę przechodniów na mijający ich wóz. Przy Armii Ludowej uśmiechają się do nas trzy dziewczyny. Wóz staje. Otwieram drzwi i nie wychodząc z wozu pytam: „A może odwieźć panie?" Dziewczęta nie przygotowane na takie zaproszenie zbijają się w ciasne koło, śmiejąc się do siebie. Powtarzam propozycję. „Jedź, Zocha, najdalej masz... na Chojny" Dziewczyna się opiera. „Jedźcie ze mną!" — proponuje koleżankom, czepiając się ich płaszczy. One jednak popychają Zochę w stronę wozu. „Dajcie spokój, nie róbcie ze mnie idiotki" broni się Zocha. „Jeszcze tego by brakowało, żeby zobaczył nas jakiś znajomy" — rzuca właściciel wozu zapalając silnik. „Nie ma co, jedziemy dalej decyduję". Już w biegu zamykam drzwi i uśmiechając się do dziewcząt kiwam ręką wszystkim trzem na pożegnanie. Na zbiegu ulic Narutowicza i Kilińskiego, tuż obok hotelu Polonia zatrzymuje nas długi sznur samochodów przecinających Narutowicza. Lustruję odcinek. W podcieniach kręci się kilka 16-, 18-letnich dziewcząt. „Dzień dobry" rzucam im z wozu. „Nie tak na chama!" — strofuje mnie kierowca. Okazuje się, że „dzień dobry" chwyciło. Dziewczęta zobaczywszy wóz podchodzą bliżej. „Może na spacer? Podwieźć panie?" Dziewczęta szepczą coś między sobą. Chcę otworzyć drzwiczki. „Nie tu, zapłacimy mandat" — krzyczy kierowca ruszając z miejsca. Pokazuję ruchem ręki, że czekamy po przeciwnej stronie ulicy. Stajemy więc dopiero przy Sienkiewicza. Dziewcząt jednak nie widać. Widocznie myślały, że je nabieramy. A może nie reagują na takie zaczepki? Wracamy pod „Polonię". Ale już ich nie ma. Jedziemy dalej. Ruchliwa o tej porze Piotrkowska daje więcej możliwości, ale i kryje więcej niebezpieczeństw. Można spotkać znajomych, poza tym większe zbiorowisko ludzi onieśmiela. Na deptaku wybór duży. W wiosenne popołudnie chyba cała młoda Łódź wyległa na pryncypalną ulicę miasta. Dziewczęta chodzą parami, nawet całymi grupkami. Za nimi chłopcy. Jedziemy jeszcze wolniej. Leniwie wlokący się wóz zwraca uwagę. Czasami ktoś zajrzy do środka, czasami dobiegnie nas krótka uwaga, „ale maszyna"! Przed

Dalszy ciąg na str. 4

ZE ŚWIATA

Ostatnie dni rozszerzyły nieco naszą wiedzę o wydarzeniach w Algierii. Przyczyniły się do tego: spotkanie algierskiego ministra spraw zagranicznych — Butefliki, tego samego, którego Ben Bella chciał usunąć z rządu, z przedstawicielami agencji prasowych oraz doniesienia naszych korespondentów o przygotowywanym pośpiesznie procesie b. prezydenta. Jako że „więźniowie nigdy nie mają racji" z procesu tego dowiemy się z pewnością, że Ben Bella dopuścił się zdrady stanu, był tyranem, a może nawet malwersantem. Oczywiście — wyrok w takich warunkach jest jakby z góry przesądzony.

Trudno negować niektóre ujemne zjawiska w systemie kierowania państwem przez Ben Bellę. Można chyba także stwierdzić dzisiaj, że nie posiadł umiejętności łączenia współpracujących z nim polityków. Zapowiedź kolejnych personalnych zmian — stała się przysłowiową kroplą, która dopełniła kielicha. Wtedy właśnie postanowiono działać...

Los Ben Belli w dalszym ciągu nie jest znany. Skoro jednak przygotowuje się jego proces, który — jeśli wierzyć doniesieniom agencyjnym — ma być transmitowany przez radio i telewizję, pogłoski o zabójstwie trzeba odrzucić.

Jaką politykę zagraniczną zapowiadają nowe władze algierskie?

Wyjaśnił to na wspomnianym spotkaniu Buteflika. A więc zachowanie dobrych stosunków z tradycyjnym partnerem — trzecim światem, a także krajami socjalistycznymi oraz walka z imperializmem i kolonializmem. Podkreślił on, że zasady polityki zagranicznej Algierii nie ulegną zmianie, może być tylko inny styl realizacji tych zasad.

Odnotujmy wreszcie jeszcze jeden fakt — pierwsze od dnia zamachu stanu wystąpienie płk. Bumediena — przywódcy puczu. Oświadczył on odpowiadając na liczne ataki prasy, że w Algierii „nie ma ani militaryzmu, ani faszyzmu, ani reakcji". Zdecydowanie odrzucił wszelkie głosy, które nowe władze nazywały reżimem militaryzmu.

Tyle oficjalne fakty. Są one niewątpliwie jakąś wskazówką co do zamierzeń ciągle nieujawnionej Rady Rewolucyjnej, chociaż ani na chwilę nie ucichły komentatorów zagranicznych. Pełno na szpaltach tej prasy domysłów i jeszcze raz domysłów.

W cieniu wydarzeń algierskich, na innym kontynencie, w Wietnamie spadochroniarze amerykańscy, wspomagani siłami wojsk sajgońskich oraz oddziałów australijskich, przystąpili do operacji przeciwko partyzantom. Operacja się nie udała, nie nawiązano żadnego kontaktu bojowego z partyzantami. W innym natomiast rejonie ci ostatni skutecznie zaatakowali bazę amerykańską.

Ten epizod wietnamskiej wojny, taki, jakich zresztą wiele, raz jeszcze zmusił niektórych komentatorów USA do refleksji na temat bezsensu walki.

Cóż, kiedy protesty opinii światowej i trzeźwe oceny wspomnianych publicystów nie mogą przebić się przez mury Białego Domu. Johnson z uporem maniaka realizuje kowbojską politykę...

Algieria, Wietnam, Dominikana... Do tej listy aktualnych zainteresowań opinii publicznej dodać trzeba koniecznie także Francję. Do 5 grudnia — daty wyborów prezydenckich — wprawdzie jeszcze daleko, ale komentarzy i spekulacji na ten temat coraz więcej.

Przyczyna? Przede wszystkim brak jasności, czy de Gaulle będzie ponownie kandydował, czy też nie. 82 proc. zapytywanych w tej sprawie Francuzów dało odpowiedź twierdzącą — sam zainteresowany jednak milczy. Podobno dlatego, czy: po pierwsze — uzależnić decyzję od stanu zdrowia, który ma być szczegółowo określony po badaniach sierpniowych (w czasie urlopu de Gaulle'a), po drugie — zbyt wcześnie nie odsłaniać kart przed opozycją. Gdyby de Gaulle kandydował — przewiduje się jego zdecydowane zwycięstwo, gdyby nie — szanse obecnego premiera Pompidou, którego nazwisko wymienia się najczęściej, mogłyby nie być jednoznaczne. Zwłaszcza, gdyby kontrkandydatem był Pinay.

Te wszystkie ewentualności rozważa prasa zachodnia, chociaż — jak się rzekło — do wyborów jeszcze pięć miesięcy. Nie ma się temu co dziwić, zważywszy jak wielki wpływ na politykę Francji wywiera osobowość de Gaulle'a, jego autorytet, jak śmiałe i często kłopotliwe dla Waszyngtonu są jego opinie i decyzje.

☆ ★ ☆

1 lipca — o czym obszernie informowała prasa codzienna — udał się do Finlandii na zaproszenie prezydenta Urho Kekkonena — przewodniczący Rady Państwa — Edward Ochab. Wizyta zwróciła uwagę komentatorów, którzy przypominają pomyślny rozwój stosunków polsko-fińskich. Przypominamy więc i my, że zarówno Polskę, jak i Finlandię charakteryzuje aktywny stosunek do polityki współistnienia, że oba kraje niejednokrotnie wypowiadały się za krokami zmierzającymi do rozbrojenia i zmniejszenia napięcia międzynarodowego. Stąd też polskie inicjatywy utworzenia strefy bezatomowej w Europie, czy też zamrożenia zbrojeń nuklearnych spotykały się w Finlandii z szerokim rezonansem. My zaś ze swej strony niejednokrotnie podkreślaliśmy znaczenie, jakie dla sprawy światowego pokoju ma fińska neutralność.

Pobyt Edwarda Ochaba w Finlandii służyć więc będzie na pewno nie tylko rozwojowi stosunków bilateralnych, ale wybiegać będzie poza granice obu krajów.

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA, 27 CZERWCA

Rząd sajgoński zwrócił się z oficjalną prośbą do rządu południowokoreańskiego o przysłanie do Wietnamu Południowego dywizji koreańskiej celem dopomożenia w walce z siłami partyzanckimi.

Dwudziesta rocznica powstania ONZ stała się okazją do szeregu komentarzy prasowych poświęconych aktualnej sytuacji tej międzynarodowej organizacji. Większość komentarzy utrzymana jest w tonie pesymistycznym, co do możliwości odegrania przez ONZ w obecnych warunkach większej roli. „Uroczystości w San Francisco — pisze paryski „La Nation" raczej uwypuklily szczeliny, niż rację bytu wielkiego sojuszu". „La Figaro": „Żaden kraj nie przestrzega zasad Karty, żadne państwo nie rezygnuje z użycia siły. Nikt nie przestrzega tak zwanego prawa międzynarodowego".

Zdaniem austriackiego dziennika „Die Presse" należy się liczyć, że najpóźniej po wyborach w NRF podjęte zostaną stosunki dyplomatyczne pomiędzy Bonn a Bukaresztem.

PONIEDZIAŁEK, 28 CZERWCA

W związku z przypadającą obecnie piętnastą rocznicą okupowania wyspy Tajwan przez Amerykanów, agencja „Nowe Chiny", zamieściła informację o sytuacji tej wyspy. Agencja podaje, że od czerwca 1950 r. okręty i samoloty amerykańskie stacjonujące na Tajwanie i w Cieśninie Tajwańskiej wielokrotnie naruszały obszar powietrzny i wody terytorialne Chin.

W związku z tym rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych złożył 387 poważnych ostrzeżeń. Liczący 12 milionów mieszkańców Tajwan ma przeszło 2.400.000 bezrobotnych.

Minister Spraw Wewnętrznych CSRS podał w opublikowanym artykule, że w ciągu ostatnich 10 miesięcy liczba przestępstw karnych w republice spadła o 55,2 proc. Jednocześnie wzrasta w ostatnim czasie liczba niektórych wykroczeń jak np. chuligaństwo, pasożytnictwo itp. Poważną sprawą jest przestępczość wśród młodzieży.

Jak wynika z doniesień prasowych, nowe władze w Algierze działają w kierunku przyspieszenia przygotowań do procesu obalonego prezydenta Ben Belli. Władze zamierzają opublikować przed procesem tzw. „Białą Księgę", mającą ujawnić „zbrodnie Ben Belli". W kołach zbliżonych do algierskiego ministerstwa informacji mówi się, że w grę wchodzić może tylko najwyższy wymiar kary.

WTOREK, 29 CZERWCA

Według ostatnich danych uzyskanych przez Biuro Badania Opinii Publicznej Gallupa — 70 proc. Amerykanów jest zdania, że prezydent Johnson w odpowiedni sposób kieruje polityką USA, 18 proc. występuje przeciwko tej polityce, 12 proc. natomiast nie ma wyrobionej na ten temat opinii.

Premier Fidel Castro o wydarzeniach algierskich: „Kto ośmieli się twierdzić, że Ben Bella nie był rewolucjonistą, że nie wyrażał uczuć narodu algierskiego, że Ben Bella był zdrajcą rewolucji, sługą imperializmu, reakcjonistą czy despotą? Wojskowy zamach stanu, który obalił rząd Ben Belli nie jest i nie może być określany mianem procesu rewolucyjnego".

> *Ludzie są nawzajem sobie równi, przede wszystkim w tym co chcieliby ukryć.*
> **ROMAIN GARY**
> **PISARZ**

Agencja Sinhua informuje, że od roku 1953 w przekładzie na języki mniejszości narodowych wyszło w Chinach 270 tytułów dzieł Mao Tse-tunga. Agencja podaje, że przed księgarniami stoją długie kolejki po te dzieła.

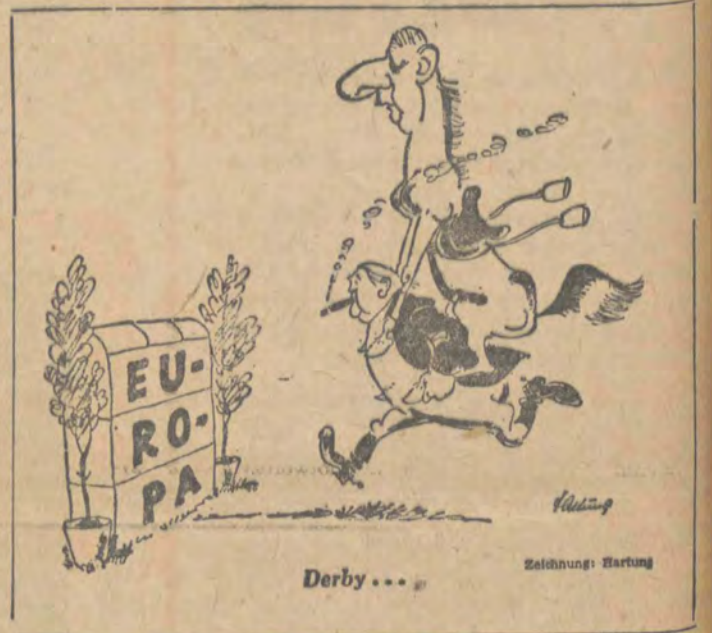

Derby...

ŚRODA, 30 CZERWCA

Partyzanci południowowietnamscy dokonali przy pomocy moździerzy brawurowego ataku na amerykańską bazę lotniczą Danang. Kilka samolotów zostało zniszczonych lub uszkodzonych. Agencja AP pisze, iż pociski padały „ze śmiertelną dokładnością", AFP zaś stwierdza: „Ostrzelanie przy pomocy moździerzy bazy w Danang potwierdziło impas, w jakim znajdują się amerykańskie wojska w Wietnamie.

Były minister Spraw Zagranicznych W. Brytanii Gordon-Walker w przemówieniu do businessmanów amerykańskich stwierdził, że Stany Zjednoczone powinny podjąć rozmowy z Frontem Wyzwolenia Południowego Wietnamu, jeśli chcą osiągnąć pokojowe rozwiązanie konfliktu wietnamskiego.

Pomiędzy Egiptem a ChRL zostało osiągnięte porozumienie o dostawie dla ZRA 250 tysięcy ton kukurydzy. Porozumienie osiągnięto w czasie ostatniej wizyty premiera Czou En-laja.

> *Mąż stanu staje w służbie państwa, polityk stawia państwo w swojej służbie.*
> **BERTRAND RUSSELL**

CZWARTEK, 1 LIPCA

Agencje zachodnie komentują fakt odroczenia konferencji krajów afroazjatyckich jako wyraz narastających sprzeczności w łonie państw tej grupy. „Spoistość państw — pisze francuski „Combat", która przez pewien czas była wzorowa i sprawiła, że trzeba było wprowadzić nowe, bardzo ciekawe definicje polityczne, pozwalająca na walkę wyzwoleńczą, której wynik decydował o równowadze światowej, załamała się obecnie".

Do portu w Aleksandrii wpłynął pierwszy radziecki statek ze zbożem w ramach zapowiedzianej przez rząd ZSRR dostawy dla ZRA 300 tysięcy ton pszenicy. Statek powitany został przez tłumy ludności zgromadzonej na nadbrzeżach portowych. W wywiadzie dla dziennikarzy kapitan statku oświadczył, że statek przebywał na Morzu Czarnym płynąc z jednego z portów Australii, do Odessy, kiedy otrzymał instrukcję o zmianie kursu. Związek Radziecki, dodał kapitan, z zadowoleniem pomaga tym, którzy zwracają się do niego o pomoc.

Przebywający obecnie w Związku Radzieckim Reginald Maudling, minister spraw zagranicznych w konserwatywnym „Gabinecie Cieni" przyjęty został przez premiera Kosygina. Polityk brytyjski stwierdził następnie wobec dziennikarzy, iż premier radziecki powiedział mu, że ZSRR przywiązuje duże znaczenie do utrzymania przyjaznych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, ale nie widzi żadnej płaszczyzny porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie Wietnamu.

PIĄTEK, 2 LIPCA

Szereg przedsiębiorstw handlowych w ZSRR przeprowadza eksperyment ekonomiczny, którego istota polega na tym, że zamiast planu obrotów, głównym kryterium działalności przedsiębiorstwa jest zysk. Jeden z dyrektorów eksperymentującego domu sprzedaży zapytany o rezultaty działalności przedsiębiorstwa, odpowiedział: rzeczywistość przeszła wszelkie nasze oczekiwania. Teraz od konsumenta w dużym stopniu zależy zarobek sprzedawcy i dyrektora, robotnika i kasjera. Trudno sobie nawet wyobrazić jak zmieniła się atmosfera w sklepie.

Agencja Nowych Chin pisze, iż pawilon ChRL na tegorocznych Targach Poznańskich obejrzało przeszło 400 tysięcy osób. Pawilon chiński — zaznacza agencja — pomógł narodowi polskiemu lepiej zrozumieć Chiny, umocnił przyjaźń między obu narodami. Agencja cytuje słowa niektórych zwiedzających wpisane do księgi pamiątkowej: „Jesteśmy szczęśliwi, że możemy widzieć w Polsce kolosalne osiągnięcia ChRL, która na czele z KPCh i towarzyszem Mao Tse-tungiem kroczy do komunizmu przestrzegając zasad marksizmu-leninizmu", „Serdeczne pozdrowienia dla towarzysza Mao Tse-tunga".

> *Mężczyzna od czasu do czasu uczyni coś co zaskakuje innych, kobieta natomiast najczęściej czyni to co zaskakuje ją samą.*
> **JULIEN DUVIVIER**
> **REŻYSER**

SOBOTA, 3 LIPCA

Departament Stanu USA podał do wiadomości, że Stany Zjednoczone wywierają presję na swych sojuszników i inne kraje niesocjalistyczne, aby zabroniły swym statkom zawijania do portów północnowietnamskich.

Gwatemala, Salwador, Honduras i Nikaragua postanowiły utworzyć blok wojskowy, którego celem ma być zwalczanie tendencji wyzwoleńczych narodów tego rejonu.

„Osservatore Romano" publikuje informację w sprawie ewentualnej podróży papieża do Nowego Jorku na zaproszenie sekretarza generalnego ONZ U Thanta. Pismo pisze, iż papież przyjął z „dużym zadowoleniem ten gest szacunku". Celem wizyty papieża w ONZ — pisze jedna z agencji zachodnich będzie „podkreślenie z trybuny Narodów Zjednoczonych konieczności podjęcia przez przywódców politycznych i duchownych całego świata inicjatywy w kierunku utrzymania pokoju, wstrzymania wyścigu zbrojeń i przyjścia z pomocą najbiedniejszym krajom".

POLONICA

SŁOWACKA LITERATURA W POLSCE

Pod takim tytułem („Slovenska literatura v Polsku") ukazał się artykuł Zdzisława Hierowskiego w tygodniku „Kulturny Život", wydawanym w Bratysławie. Z artykułu katowickiego krytyka, a zarazem zasłużonego tłumacza literatury czechosłowackiej wynika, że o wiele więcej przetłumaczono u nas dzieł autorów czeskich, niż słowackich. Hierowski uważa, że ta różnica jest nie tylko duża, ale wręcz krzycząca.

W tym samym numerze „Kulturnego Života" znajduje się artykuł o festiwalu krótkich filmów w Krakowie, pióra korespondenta słowackiego, Michala Nadubinsky'ego.

RÓŻEWICZ, SITO I WAŻYK W NRF

W ostatnim (drugim z br.) numerze znakomitego kwartalnika „Akzente", poświęconego nowoczesnej poezji i prozie (jego wydawcą jest znana monachijska firma Carl Hanser Verlag, która opublikowała niedawno antologię polskiej poezji XX wieku) znajdują się wiersze J. S. Sity („Adolf Eichmann" z tomu „Ucieczka do Egiptu"), Tadeusza Różewicza („Zielona róża") i Adama Ważyka („Krytyka poematu dla dorosłych"). Zamieszczone utwory służą jako „ilustracja tzw. „długich wierszy", co jest tematem tego numeru. Warto nadmienić, że po tomie wierszy Zbigniewa Herberta, który ukazał się w wydawnictwie Suhrkamp w ub. roku (entuzjastycznie przyjęty), jesienią tego roku ukaże się w wydawnictwie Carl Hanser tom wierszy Różewicza pt. „Formy niepokoju"; oba tomy w przekładzie Karla Dedeciusa.

BAJKI POLSKIE W RADZIECKICH KSIĘGARNIACH

Wydawnictwo „Chudożestwiennaja Litieratura", mające swą siedzibę w Moskwie i Leningradzie, wydało zbiór polskich bajek i legend ludowych. Książka wyszła w początku br. nakładem 75.000 egzemplarzy. Wyboru dokonał P. Glinkin, a pomysłowe ilustracje wykonał plastyk W. Własow.

Ogółem zebrano 154 bajki i legendy. We wstępie do książki czytamy: „Naród w legendach, bajkach i pieśniach wyrażał swoje myśli i uczucia; chronił i rozwijał język ojczysty, umacniał poczucie narodowe".

Książka cieszy się dużym powodzeniem u radzieckich czytelników.

E. L.

PISARZE POLSCY W ZSRR

Na zaproszenie Związku Pisarzy ZSRR do Moskwy przybyła delegacja polskich pisarzy, na czele której stoi popularny wśród radzieckich czytelników — Wojciech Żukrowski. Wiadomość tę zamieściła „Litieraturnaja Gazieta" z dnia 24 czerwca bież. roku.

Komentator pisze: „W czasie pobytu w ZSRR polscy goście spotkają się z pisarzami i tłumaczami radzieckimi, odwiedzą redakcje gazet i tygodników; a także zwiedzą Nowosybirsk, Irkuck, Brack i Leningrad".

Spotkania z radzieckimi pisarzami, które stały się niejako tradycją, są dowodem coraz większego zainteresowania rozwojem literatury obu zaprzyjaźnionych krajów.

E. L.

GDYBYM MIAŁ PÓŁ MILIONA ZŁOTYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

a więc piętnastokrotnie więcej. Na tym jednak sprawa się nie kończy... Mieszkaniec Łodzi zaopatruje się w warzywa nie tylko w sklepach uspołecznionych, ale i na targowiskach. Szacuje się, bo trudno tutaj przecież o dokładny rachunek, **że na 5 łódzkich targowiskach sprzedaje się rocznie 41 tys. ton warzyw, a więc prawie dwa razy tyle co w sieci sklepów uspołecznionych.** Bez targowisk niemożliwe byłoby utrzymanie obecnej konsumpcji 90 kg warzyw na głowę łodzianina, niepokojąca jest więc tendencja likwidacji targowisk, a raczej spychania ich na dalekie peryferia. **Wydział Handlu nawet nie może sobie wyobrazić w jaki sposób sieć jego sklepów mogłaby przejąć masę warzyw sprzedawanych na targowiskach.**

Oczywiście, dostawcą warzyw na targowiska jest już wyłącznie prywatny producent. Tym dostawcą prywatnym do sklepów państwowych i na targowiska są przede wszystkim chłopi z powiatu łęczyckiego, bo tam ziemie najlepsze, sami łódzcy badylarze zaopatrują miasto jedynie w 30% sprzedawanych warzyw. Te 30%, na co składają się przede wszystkim nowalijki — 1000 ton produkcji cieplarnianej, dające 59 milionów zł rocznego przychodu, to jednak dostatecznie dużo by przestać używać żartobliwego (wg. słownika) terminu „badylarz" i zastąpić go bardziej szacownym „ogrodnik"...

2.

W przeliczeniu na hektary, zielone zaplecze Łodzi nie wygląda specjalnie imponująco. Oblicza się, że prywatny areał upraw warzyw i owoców w Łodzi wynosi 1547 ha. Gdy jednak odliczymy ogródki działkowe, przydomowe, sady (Łódź owoców produkuje mało i jest skazana na import), pozostanie 606 ha gospodarstw chłopskich i ogrodniczych. Składa się na nie 3374 gospodarstw, w tym 400 ogrodniczych, a więc tych właśnie, które nas interesują. W tego rodzaju gospodarstwach liczy się już nie na hektary, lecz na metry kwadratowe, za żywotny, dający niezły dochód, traktuje się już ogród o zaledwie 400 metrach. **Najistotniejszym jednak potencjałem łódzkiego ogrodnictwa jest 20 ha cieplarń, one bowiem właśnie dają Łodzi pierwsze miejsce w kraju pod względem produkcji nowalijek, w które zaopatrują nie tylko samo miasto ale i Warszawę oraz Śląsk.** Ogrzewane szklarnie — to właśnie te wielkie dochody, które pozwalają na tak efektowne entrée do Grandki jak opisane na wstępie. Rachunek tutaj jest prosty. Według norm Wydziału Finansowego, podobno zresztą zaniżonych, warzywa gruntowe ze 100 m kw. ziemi II klasy dają przychód w wysokości 222,25 zł., ale 1 m kw. szklarni ogrzewanej przynosi 310,08 zł. Rozliczmy gospodarstwo jednego z większych łódzkich ogrodników, Szyszkiewicza na Widzewie. Całe gospodarstwo ma 2,80 ha. Przychód z warzyw gruntowych — 20 350 zł, z 452 okien inspektowych — 70 tys. zł, 2 ary kwiatów — 837 zł, ale 1925 m kw szklarni ogrzewanej przynosi okrągłą sumkę 596 tys. zł.

Te 20 tys. m kw. szklarni ogrzewanych bynajmniej nie są równomiernie rozdzielone między 400 łódzkich ogrodników. Możemy tutaj śmiało użyć określenia z marksowskiej ekonomii, że w branży ogrodniczej mamy do czynienia z typową koncentracją kapitału w ręku kilku ogrodników, których dosłownie można policzyć na palcach. Wspomniany już Szyszkiewicz z Widzewa, trzej bracia Dziomdziorowie, z których każdy ma własne gospodarstwo ogrodnicze, Wodzyński z Zabieńca, Stoiński, Lapeta, znany ogrodnik z Piotrkowskiej, specjalizujący się w produkcji kwiatów — Kołaczkowski to są tuzy w branży badylarskiej, monopolizujący lwią część ogrzewanych szklarni. Jeśli uznać samochód za symbol bogactwa w naszych warunkach, to fachowcy od badylarstwa obliczają, że jedynie 20% ogrodników wyróżnia się w ten sposób z tłumu pieszych łodzian. Dla innych branży, powiedzmy lekarzy czy adwokatów procent posiadanych samochodów jest wyższy, a nikt przecież eskulapów nie posądza o milionerstwo. W wypadku zresztą ogrodników samochód służy jako środek transportu warzyw, tańszy nieraz od wozu konnego. Luksusowe wozy zagranicznych marek są więc wśród ogrodników rzadkością i ich posiadacze to właśnie ci, którzy mają po kilka tysięcy metrów szklarni ogrzewanych.

Prosty człowiek może więc sobie zadać pytanie: jeśli ogrzewane szklarnie są takim dobrym interesem dlaczego więc jedynie garstka ogrodników jest ich właścicielami?

Kierownik Wydziału Rolnictwa, którego męczyłem podobnie naiwnymi pytaniami uśmiechnął się z pobłażaniem i powiedział: proszę pana, jeśli chce pan wyciągnąć z ogrodnictwa 80 tys. złotych rocznego zysku, co znowu nie jest tak wiele (trochę ponad 6000 zł miesięcznie) uwzględniając, że trzeba pracować 14—16 godzin na dobę, musi pan zainwestować co najmniej pół miliona złotych... Proszę sobie teraz szybciutko w pamięci obliczyć, jakiego rzędu inwestycje należy poczynić aby wyciągnąć z gospodarstwa ogrodniczego zysk w wysokości pół miliona rocznie...

Młody inżynier, absolwent warszawskiej SGGW, kierownik spółdzielni ogrodniczej pracuje za te „polskie dwa tysiące". Inni absolwenci tej samej uczelni jak na przykład Stoiński, córka i zięć Wodzyńskiego żyją na zupełnie innym standarcie, odbiegającym daleko od polskiej przeciętności. I znowu głupie pytanie: ma pan odpowiednie przygotowanie fachowe, zamiast siedzieć tu za biurkiem, dlaczego nie wziął się pan za ogrodnictwo? Kierownik uśmiecha się i mówi: z powodu małego głupstwa, brakowało mi tych pół miliona złotych...

3.

Na fortuny kilkunastu łódzkich ogrodników złożyła się praca kilku pokoleń. Najwięksi potentaci w branży badylarskiej Dziomdziorowie są ogrodnikami już w trzecim pokoleniu, ojciec Stoińskiego pielęgnował róże i tulipany na dworze holenderskim, zięć Wodzyńskiego wżenił się w już prosperujące gospodarstwo. Zwiedziłem to gospodarstwo na Zabieńcu przy ulicy Kwiatowej. Na tej samej ulicy jest wiele gospodarstw ogrodniczych. Ot, normalne ogródki, ludzie coś tam kopią motyką w ziemi, pod lewają kwiatki. Gospodarstwo Wodzyńskiego nie tyle przypomina ogród co wielką fabrykę: pięć wielkich kominów pnie się w niebo, rząd cieplarni trudny do ogarnięcia wzrokiem, w każdej rury centralnego ogrzewania, najemny kierownik gospodarstwa, tak na oko ze 20 pracowników norma przewiduje jednego pracownika na każde 200 m kw. szklarni). Właściciela nie ma, bo nie mieszka przy gospodarstwie, a kierownik bez szefa nie chce odpowiadać na pytania dziennikarza. Nawet na najprostsze w rodzaju: ile wynosi pensja pracownicza. Nie martwmy się jednak, że pan Wodzyński wyzyskuje swoich pracowników.

Są to więc rzeczywiste fortuny... Ostatnio na przykład dla potrzeb rozbudowy miasta wywłaszcza się wielu ogrodników, co jednak nie ma nic wspólnego z ekspropiacją, bo otrzymują nowe działki oraz wypłaca im się odszkodowanie w przybliżeniu pokrywające koszt poniesionych inwestycji. Wielu z tych wywłaszczonych jest nawet zadowolonych, gdyż otrzymana suma pieniędzy pozwala na założenie nowego, już zmodernizowanego gospodarstwa. W kilku jednak wypadkach miasto mimo nalegań urbanistów zwleka z wywłaszczeniem. Tajemnica tej opieszałości jest prosta: należałoby wypłacić odszkodowanie idące w miliony, na co nie stać budżetu Łodzi.

Nasz ustrój, co jest zrozumiałe, bardzo nie lubi milionerów, mogą coś na ten temat powiedzieć ludzie z prywatnej inicjatywy. Tymczasem elita badylarska wcale nie musi kryć się ze swoimi milionami, spokojnie mogą ludziom świecić w oczy swoimi Mercedesami czy Chevroletami. Tajemnicę tego stanu rzeczy zgłębiałem w Wydziale Finansowym, bo któż w końcu może wiedzieć lepiej... W przeciwieństwie do innych branż prywatnej inicjatywy badylarzom nie grożą domiary (pan naczelnik bardzo się skrzywił, gdy użyłem tego potocznego określenia i wyjaśnił mi, że w myśl artykułu 131 podatek ten nazywa się wyrównawczym), bo ogrodnicy nie płacą ani podatku obrotowego ani dochodowego, a jedynie gruntowy. Wynosi on od 10 do 20% przychodu gospodarstwa obliczanego według stałych norm. Jeśli gospodarstwo osiąga przychód powyżej 43 670 zł rocznie wówczas od każdej złotówki płaci 20 gr. podatku. Wygląda to dość groźnie, w rzeczywistości jednak ogrodnicy wychodzą jednak jakoś na swoje. Rzecz bowiem w tym, że normy przychodowości są chyba mocno zaniżone. Do takiego wniosku skłania proste wyliczenie. Według danych Wydziału Finansowego roczna przychodowość 400 gospodarstw ogrodniczych wynosi 12 milionów 600 tys. zł. Wynikałoby więc, że jedno gospodarstwo osiąga rocznie przychód w wysokości 31 500 zł (jest to i tak 2,5 raza więcej niż przychód gospodarstwa chłopskiego na obszarze Łodzi). Przychód to jednak nie zysk, gdzie więc koszty własne, przecież 1 kg warzyw cieplarnianych wymaga 2 kg opału... Węgiel to w ogóle połowa kosztów produkcji.

Ogrodnicy, którzy kontraktują płacą poza tym o 50% niższy podatek, co jednak nie ma większego znaczenia, gdyż ceny skupu państwowego są odpowiednio prawie o połowę niższe od wolnorynkowych. Ci jednak, którzy kontraktują otrzymują węgiel. Z przywilejów tego rodzaju wymieńmy jeszcze, że ogrodnik, który wystawi nową szklarnię jest zwolniony na pewien czas od podatków, że kwiaty uprawiane w cieplarniach jako popiony są zwolnione od opodatkowania, że ogrodnik, który sprzedaje swoje warzywa na własnym gruncie nie płaci podatku obrotowego.

Tajemnica wielkich fortun właścicieli ogrzewanych szklarni kryje się jednak jedynie w zaniżonych normach. Oficjalnie jeden metr kw. szklarni ogrzewanej przy kontraktowanych warzywach ma przynosić i według tego wymierza się podatek: 155,04 zł. Według oceny kierownika Wydziału Rolnictwa 1 m kw. szklarni ogrzewanych daje 12 kg warzyw, co w przeliczeniu na złotówki przynosi 400 zł, ale nie przychodu lecz już czystego zysku. Ogrodnik Szyszkiewicz od 1925 m kw. szklarni ma obliczany przychód w wysokości 596 900 zł. W rzeczywistości, jeśli Wydział Rolnictwa nie myli się w swych kalkulacjach, osiągałby z tych cieplarni 770 tys. zł czystego zysku. A nie jest on przecież właścicielem największych cieplarni. Leszek Dziomdzior ma 6 tys. m kw. gruntu pod szkłem. Obliczenie zysku pozostawiam biegłym w matematyce...

4.

Reporter zdaje sobie sprawę, że to drobiazgowe zaglądanie do kieszeni prywatnych ogrodników zdenerwuje nie tylko ich samych, ale i Czytelników, których większość żyje za te „polskie dwa tysiące"... Liberalizm ludowego państwa wobec tuzów badylarstwa znajduje jednak swoje ekonomiczne uzasadnienie ludzie bowiem, którzy [illegible] A wówczas pomidory jedalibyśmy dopiero gdy nadejdą w sierpniu z Bułgarii, na ogórki czekalibyśmy aż dojrzeją na polach chłopskich, nie mówiąc już o tym, że byłyby kłopoty z otrzymaniem zimą bukietu róż dla narzeczonej... (prokuratura łódzka, w przeciwieństwie do innych przedstawicieli prywatnej inicjatywy nie ma z nimi kłopotów, czasami jedynie kupują węgiel „na lewo").

Badylarz jest więc postacią pozytywną i jako taki jest nawet popierany przez państwo. Bank Rolny w Łodzi udziela rocznie 4 miliony zł kredytu na rozwój gospodarstw ogrodniczych, co plus koniunktura powoduje, że rocznie łódzkie ogrodnictwo powiększa się o 1,5 ha. Czyni się co prawda ostatnio wysiłki, by zainteresować produkcją warzyw kółka rolnicze, ale w najbliższej przyszłości prywatny ogrodnik będzie nadal monopolistą w dostawie warzyw na rynek.

Liberalna polityka państwa wobec prywatnego ogrodnictwa znajduje swój oddźwięk u samych badylarzy. 95% produkcji, a w nowalijkach nawet 97% ogrodnicy kontraktują w państwowym skupie warzyw. Na Rynku Bałuckim sprzedają warzywa jedynie ubodzy ogrodnicy, dysponujący tylko zimnymi inspektami. Marianna Jurys, którą spotkałem na Bałuckim Rynku nie kontraktuje, lecz sama sprzedaje warzywa na targowisku. Mówi, że jej zysk ze 160 okien inspektowych to te dwieście złotych, które dziennie utarguje podczas, gdy mąż haruje w gospodarstwie. Kierownik targowiska, jak się sam przedstawia: Nowak Klemens, syn Stanisława („dużo mówię, bo rodzice mieli przed wojną magiel") odnosi się do tej sumy dość sceptycznie.

— Teraz to pan redaktor widzi ją w bublach, ale w niedzielę jak się odpicuje do kościoła to wygląda jak dziedziczka...

Może i pani Marianna Jurys rzeczywiście wygląda w niedzielę jak dziedziczka, ale kudy jej tam do wielkich tuzów w badylarstwie. Tuzy, panowie w non-ironowych koszulkach, przeważnie o średnim ale bardzo często i z tytułami magistrów lub inżynierów nie paraliby się handlem na Bałuckim Rynku. Większość jednak badylarzy łódzkich zarabia właśnie na poziomie pani Jurysowej, tyle, że nie handlują sami lecz kontraktują. Inwestycje w ogrodnictwie są niezwykle wysokie, samo doprowadzenie wody kosztuje bajońskie sumy, nie mówiąc już o cenach surowców, jak na przykład stali, niezbędnych do postawienia cieplarni. Stąd w Łodzi wiele jest też nierentownych gospodarstw ogrodniczych, które nie zarabiają nawet na zapłacenie podatku. Polityka Wydziału Rolnictwa zmierza poprzez wywłaszczenia do wyeliminowania z rynku tego rodzaju gospodarstw.

Mit ich wielkich zarobków sprawił, że do jedynej łódzkiej szkoły ogrodniczej na Widzewie, która dysponuje 43 miejscami w 1964 roku zgłosiło się aż 250 kandydatów. W szkole tej uczy się trochę synów właścicieli gospodarstw ogrodniczych ale większość jej absolwentów nie będzie chyba dysponować magiczną sumą pół miliona złotych. Ba, gdybym ją miał sam byni założył takie gospodarstwo gdzieś na ulicy Kwiatowej i zajeżdżałbym przed Grandkę kremowym Chevroletem. Chociaż podobno w branży ogrodniczej oprócz pieniędzy potrzebna jest jeszcze fachowość. Bo bowiem „pańskiego oka" z rentownością może być kiepsko.

ANDRZEJ BERKOWICZ

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Z pewnym zainteresowaniem przeczytałem pełen swady i humoru felieton „Cwieka" pt. „Lewym okiem" — „Krakowiaczek dla babci" z dn. 20. VI. br. Autorowi można by pozazdrościć talentu i zmysłu obserwacyjnego, gdyby nie te ciągotki do uogólnień. Oczywiście jest sprawą jasną, że nikt z rodziców mających dziecko w przedszkolu nie weźmie poważnie opisów p. Cwieka. Bo co byśmy nie powiedzieli o przedszkolach, to instytucja ta, co tu dużo gadać, w naszej łódzkiej sytuacji, gdzie niemal wszystkie matki pracują za wodowo, jest wprost błogosławieństwem. Wszyscy rodzice i dzieci czują dla kierowniczek i wychowawczyń taki bezmiar wdzięczności i darzą je takim kapitałem zaufania, że wystąpienie Cwieka na łamach tak poczytnego pisma jakim są „Odgłosy" nie jest w stanie poderwać ich autorytetu.

Jako matka dziecka uczęszczającego do przedszkola i członek Komitetu Rodzicielskiego przy 73 Państwowym Przedszkolu w Łodzi protestuję w ich imieniu. Obserwuję pracę przedszkola nie od dziś i jestem pewna, że w 99 proc. łódzkich przedszkoli panuje właściwa atmosfera i właściwy styl pracy. Różnego rodzaju „Dni" i święta nie są wymysłem przedszkoli. Kto inny je ustanawiał. To, że dzieci są angażowane uczuciowo w obchodzeniu tych uroczystości, może budzić tylko nasze zadowolenie. Dzieci, bawiąc się, jednocześnie uczą się szanować pracę poszczególnych grup ludzi (w tym i dziennikarzy z okazji „Dni Oświaty, Książki i Prasy"), uczą się miłości do przyrody, szacunku dla rodziców i w ogóle poznają przez to otaczającą je rzeczywistość. To, że mamy różnie ubierają swoje pociechy jest sprawą ich gustów i ich kieszeni. Ingerencja przedszkola musi tu być taktowna i z konieczności ograniczona.

A zresztą czy to jest tak ważne jak się wydaje Cwiekowi? Doprawdy wylany przez niego atrament godny jest chyba lepszej sprawy.

Z poważaniem

mgr Danuta Dziwirek
Przewodnicząca Komitetu Rodzicielskiego
przy 73 Państw. Przedszkolu
w Łodzi, ul. Gandhiego 3

Łódź, dn. 25.VI. 65 r.

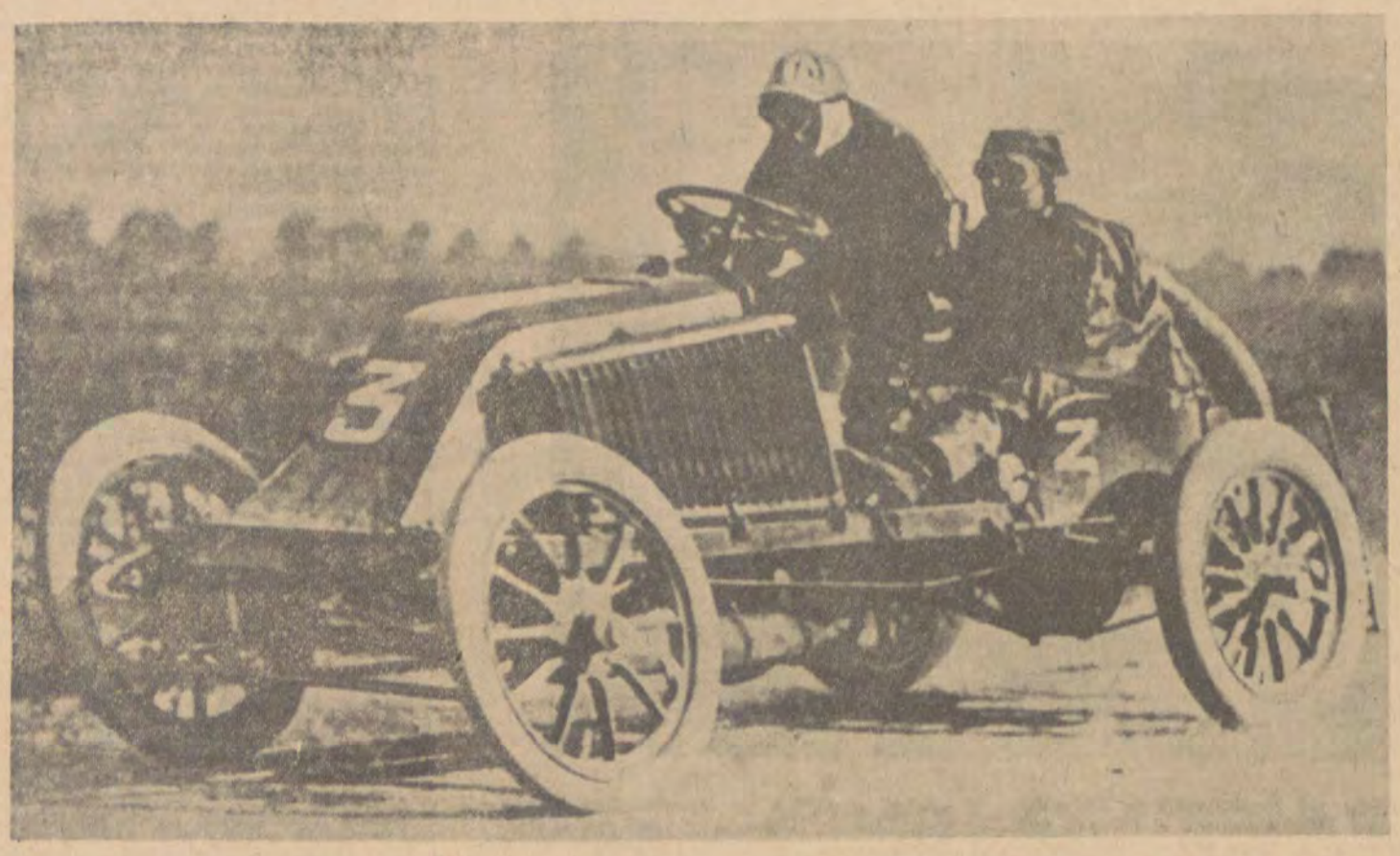

FORD-CONSUL podrywacz

Dalszy ciąg ze str. 1

kwiaciarnią spostrzegamy młodą dziewczynę, bezskutecznie starającą się zatrzymać mijające ją taksówki. Podjeżdżamy cicho, stajemy naprzeciw i proponujemy odwiezienie. Zgadza się. „Tylko szybko panowie, bo mi się spieszy" „Dokąd jedziemy?" — pytam. „Osiedle Lumumby — na Bystrzycką". Po drodze dowiadujemy się, że jest studentką trzeciego roku akademii medycznej. Bardzo się spieszy, gdyż musi zabrać z domu notatki i jechać na ćwiczenia. Jest miła, rozmowna, pyta o markę wozu, czy mieszkamy w Łodzi. Zna się trochę na samochodach, pyta się ile Ford pali, ile ma kilometrów na liczniku, ile kosztuje... Na tej konwersacji mija nam droga. Pytam, co robi wieczorem. Czy znajdzie trochę czasu by wypić z nami kawę. Dziś nie, ale jutro dysponuje czasem i owszem z chęcią się spotka. Podaje adres i numer pokoju w którym mieszka. Mamy dzwonić jutro o 19. Przy wyjściu honorowo sięga do torebki i pyta ile nam jest winna. Odpowiadamy, że cała przyjemność po naszej stronie i że zrobiliśmy tę grzeczność tylko dla niej... No więc, poznaliśmy już jedną dziewczynę. Wprawdzie przypadek, ale jedna już jest. Objeżdżamy wolno dom studencki, rozglądamy się wokoło. W oknach dziewczęta. Przystajemy by kupić papierosy. Kioskarz akurat, dostał mentolowe. Przed nami kilka osób. Również kupują papierosy. Dwie dziewczyny stoją przed wozem i przyglądają się rozłożonym prospektom i magnetofonowi. „Ładne cacko, ile może kosztować?" Dwa roczne stypendia odpowiadam..., a może i więcej..." „Panowie studiują?" pada następne pytanie. „Nie. Odwoziliśmy kogoś, a teraz jedziemy do miasta". „W kierunku Piotrkowskiej"? Tak... „Jeśli panie chcą to możemy podwieźć." „Pod siódemki. Dobrze?" „A co tam jest pod siódemkami" — udaję, że nie wiem nic o Klubie Studentów. „Świetny klub, można się znakomicie zabawić. Gdyby panowie zechcieli możemy ułatwić wejście... Wstęp tylko dla posiadaczy specjalnych kart." — Jedziemy w kierunku Piotrkowskiej. Właściciel wozu kieruje rozmowę na dom akademicki. „W jakim pokoju mieszkają panie? A ile pań mieszka w pokoju... Czy można panie odwiedzać w pokojach?" Podczas jazdy jedna z dziewcząt poprawia makijaż, czesze włosy... Druga zaś bez pytania przegląda prospekty. „A może pojechalibyśmy na jakąś wycieczkę?" — proponuję bezczelnie, obserwując reakcję. „Co to, to nie — śmieją się dziewczęta. — Za mokro... zimno.... Lepiej potańczyć w klubie jak się ociepli, to można wybrać się za miasto w którąś z niedziel."

Przedstawiamy się grzecznie i wymieniamy adresy. Znowu otrzymujemy numer telefonu, na który mamy dzwonić. Gdyby portier nie chciał poprosić, mamy powiedzieć, że dzwoni zarząd okręgowy zetemesu lub rada uczelniana ZSP, że sprawa jest pilna, służbowa. Notujemy skrzętnie i wymawiamy się od udziału w wieczorku spotkaniem, które mamy za pół godziny. „A na wycieczkę panowie mieliby czas?" — żegnają nas z uśmiechem studentki. Na razie dwa spotkania mamy umówione.

Kolejna godzina nie przyniosła specjalnych rewelacji. Na Lipowej pozdrawiamy stojącą w bramie dziewczynę w chustce na głowie i w jaskrawej niebieskiej bluzce. Pokazujemy przez szybę, by zabrała się z nami. Na to ona pokazuje ręką byśmy stanęli i przyszli do niej. Nie mamy odwagi.

Koło placu 9 Maja zabieramy dziewczynę, która spieszy się na dworzec Kaliski do pociągu. Dojeżdża do Technikum z Ozorkowa. Na propozycję spotkania odpowiada z uśmiechem „jutro o tej samej porze w tym samym miejscu to panowie mnie podwiozą". „Mówimy, że możemy ją zawieźć wozem aż do samego Ozorkowa. Nie zgadza się. To za drogo kosztuje. Woli jechać koleją, a w ostateczności tramwajem.

Z dworca podjeżdżamy do parku Poniatowskiego, pod korty. Poznajemy dziewczynę, która prosi o podwiezienie do Honoratki. Może się z nami spotkać za godzinę. W Honoratce rozejrzy się i sprowadzi drugą koleżankę. Mamy przyjechać po nie pod kawiarnię. Nad dalszym programem wieczoru zastanowimy się na miejscu. Pytamy czy kupić wino. Dobrze, ale słodkie, najlepiej wermut jugosłowiański. W chwilę potem zostajemy porządnie zwymyślani. Na Sienkiewicza, tuż obok Komendy Miasta MO spostrzegamy samotną kobietę. Jedziemy wolno, by dorównać szybkości jej kroku. Potem wyprzedzamy ją, wolno wracamy na wstecznym biegu. Operację tę powtarzamy kilka razy. Wreszcie dziewczyna nie wytrzymuje. „Nie mają panowie co robić. Wydaje mi się, że panowie się pomylili... Jeśli natychmiast panowie się nie uspokoją, zawołam milicjanta" Bliskość komendy deprymuje nas. Nareszcie prawidłowa reakcja. Dodajemy gazu i po prostu uciekamy.

Okrążamy jeszcze kilkakrotnie Piotrkowską. Na Nawrot kolejne niepowodzenie. Tym razem dziewczyna w ogóle nie odpowiada na zaczepki. Idzie, jakby nie słyszała komplementów, które przesyła jej właściciel wozu. Przyspiesza kroku i znika w najbliższej bramie. Przed „Balatonem" postanawiamy zatrzymać się na chwilkę i wypić gorącą herbatę. Wracając do wozu spostrzegamy stojącą obok grupkę trzech najwyżej 15-16-letnich podfruwajek. Śmieją się głośno, hałasują... Oglądają wóz z wszystkich stron. „A panienki jeszcze nie idą do domu?" zaczepiam otwierając drzwiczki. „Czy jego"? — pada bezczelna odpowiedź. Możemy podwieźć — ratuje sytuację kierowca, gdyż mnie, prawdę mówiąc, zamurowało. „Dziewuchy, jedziemy?" — pyta chyba najstarsza. „A dokąd panowie jadą?" Przed siebie. Gdzie chcecie? „No to jedziemy", odpowiada ta z grzywką i wyciąga rękę na powitanie. Jadźka, Mariola, Zena. Padają trzy imiona. Dziewczyny pospiesznie pakują się na tylne siedzenie. Częstuję je papierosami. Wszystkie palą. „To co, do Łagiewnik jedziemy?" — proponuje kierowca. „Możemy, tylko niech pan jedzie przez Franciszkańską, to Zenia wysiądzie...", zdecydowała ta z grzywką, wywołując komentarze pozostałej dwójki. Mówią cicho, nie słyszę więc odzywek. Przy Franciszkańskiej, koło kina, Zenia wysiada. Jadźka natomiast mówi, że bardzo lubi siedzieć obok kierowcy i proponuje, czy bym się nie przesiadł do tyłu. Już w innej konfiguracji mkniemy do Łagiewnik. Przez cały czas rozmowa toczy się parami. Ja zabawiam moją sąsiadkę, natomiast Jadźka opowiada o sobie kierowcy. Blaguje jak umie. Ma wujka w Australii, który jeździ takim samym wozem. W ostatnim liście napisał jej, że na imieniny dostanie od niego samochód. Martwi się tylko, czy będzie miała pieniądze na cło. Mariola, która siedzi obok mnie, jest mniej gadatliwa. Obdarzona mniejszą fantazją ogranicza się tylko do pytań, na które nie mam wcale ochoty odpowiadać. Zadziwia mnie szalona łatwość, z jaką obie dziewczyny, mówiąc językiem sportowców, skracają dystans. Nim się spostrzegłem, Mariola mówi mi per ty... choć ani przez chwilę nie dałem jej powodu. Dojeżdżamy do Łagiewnik i zawracamy. Dziewczyny są zaskoczone. Nie odzywają się, potem Mariola nachyla się nad koleżanką i obie wybuchają śmiechem. Chyba opinie, które wymieniły o nas, nie były najbardziej pochlebne. Postanawiamy odwieźć je do śródmieścia i zakończyć dzisiejszy wieczór. Dziewczęta żegnają się z nami chłodno, na propozycję ponownego spotkania odpowiadają, że zawsze popołudnia spędzają w „Balatonie". Możemy po nie przyjechać, ale wyczuwamy, że zbytnio nie mają chęci na takie eskapady. Ford Consul zawiódł ich oczekiwania. Wracamy do domu. Zamykamy bramę, jeszcze raz patrzę na efektowną karoserię, na ozdobne światła i srebrzystą tabliczkę umieszczoną na bagażniku. Ford Consul. Stwierdzam, że brakuje w tej wizytówce jeszcze jednego słowa. Prawidłowy bowiem napis powinien brzmieć Ford Consul Podrywacz.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

JERZY URBANKIEWICZ

LEGENDY SZCZERCOWA

Jeżeli legendą jest wydarzenie niezwykłe, zbudowane z elementów innych niż te, na które patrzymy codziennie, to Szczerców ma dwie legendy odległe od siebie w czasie i charakterze. Obie splotły się z osobą wicedyrektora liceum, p. Józefa Wolniaka i w ten sposób siwy starszy pan o dobrym spojrzeniu stanie się bohaterem wydarzeń — tych sprzed ośmiu wieków i wydarzeń dziś aktualnych. Tych pierwszych dlatego, że od starej kobiety usłyszał legendę o powstaniu miasteczka i ocalił ją od zapomnienia. Co więcej — znalazł w historii tego kraju i tych okolic fakty komponujące się z opowieścią staruszki i oto powstała relacja tak piękna, jak piękne bywają legendy a przewija się ona wśród wydarzeń niewątpliwych.

W roku 1176 sandomierski książę Kazimierz Sprawiedliwy wybrał się do klasztoru ojców Cystersów w Sulejowie nad Pilicą, kiedy zaś zakonników pożegnał, skierował konia ku bezdrożom puszczy leżącej między Pilicą a Wartą. O puszcze tę wiódł książe spór z Mieszkiem Starym, księciem wielkopolskim. Chodziło więc — być może — nie tyle o złowienie niedźwiedzia, ile o sam fakt polowania i jego wydźwięk: moja to puszcza, bo w niej poluję. W czasie polowania książe zabłądził i znalazł się z giermkiem w miejscu, do którego nie dochodził dźwięk rogów ani okrzyki myśliwych. Usiadł zmęczony na wykrocie dębu i posłał giermka po wodę. Niedaleko od tego miejsca zobaczył giermek chatę na wzgórzu. Była biedna, zrobiona z okraglaków i robiła wrażenie wymarłej. Wszedł jednak do wnętrza i oto co ujrzał. Środek izby zajmowało wygasłe palenisko, stał na nim żelazny garnek przykryty denkiem a pięcioro wychudłych i obdartych dzieci otaczało palenisko i wołało klaszcząc w dłonie: „Będziemy rzepę jeść!" Pod ścianą, pod krzyżem ciosowej roboty, klęczała kobieta i mówiła głośno „Ojcze nasz". Kiedy dochodziła do słów „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj", przerywała i zaczynała modlitwę od początku. Zajrzał giermek do wystygłego garnka i obaczył w nim 5 kamieni. Wrócił do księcia, opowiedział mu co widział i poszli do chaty razem. Tu podnieśli kobietę z klęczek a kiedy obudziła się ze swego zapamiętania w nie dokończonej nigdy modlitwie, opowiedziała im swoję historię.

Mąż jej był borowym u książąt sieradzkich, ale niedźwiedź go zabił rok temu. Miała zapas rzepy na zimę, ale dziki ją zjadły. Miała krowę. Wymieniła ją u kupców, którzy szli tędy do Kielc na worek żyta. Mełła żyto na żarnach i gotowała żur dzieciom, ale wczoraj zjadły ostatnią garść mąki. Więc przyniosła pięć kamieni ze strumienia włożyła je do garnka i uklękła do modlitwy.

Książę nakarmił ją i dzieci, zabrał ich do Sandomierza, kiedy zaś został księciem krakowskim a chłopcy podrośli, dwóch z nich osadził w puszczy jako kurzaków — kurzyli węgiel oraz topili smołę i dziegieć, potrzebne wtedy dla obrony grodów, dwaj inni założyli kuźnicę przy ujściu Pisi do Widawki i z rudy darniowej, która w tym miejscu zalegała, topili dla króla żelazo, najmłodszy zaś objął funkcję swego nieżyjącego ojca i został borowym. Chata z okraglaków runęła. Na jej miejscu bracia zbudowali kaplicę i w dni świąteczne w niej się modlili. Kiedy w kierunku miejsca tego jechali kupcy, to zapytani, dokąd jadą, odpowiadali: „Jedziemy do tych s z c z e r c ó w", to znaczy do tych, co się tak s z c z e r z e modlili.

Tyle — legenda. Poza tym można znaleźć wzmiankę u Długosza, że dwa tysiące lat temu Pliniusz, jadąc do Calisii, zatrzymał się w Szczergum — być może o Szczerców chodzi w tej nazwie.

Nauczyciel Wołosiński znalazł w pobliskiej wsi Polowa starosłowiańskie urny i narzędzia, co wskazywałoby, że miejsce to było dawno zamieszkałe. Jeśli zaś idzie o fakty historyczne, to w roku 1367 przejeżdżał tędy Kazimierz Wielki i nadał osiedlu prawa miejskie — dokumenty zaginęły. Potem Zygmunt I potwierdził prawa a jedenastu królów nadawało inne przywileje.

Wojny nie oszczędziły Szczercowa. Płonął i odbudowywał się. Tylko kościółek św. Barbary przetrwał na cmentarzu jako świadek tego, co się tu działo w ciągu stuleci. Kościółek przetrwał też rok 1939, kiedy z miasteczka prawie nic nie zostało. Ale z rokiem tym łączy się już druga, współczesna legenda, której wątek jest inny.

11 listopada 1939 roku gestapo aresztowało 16 mieszkańców Szczercowa. Spędzili cztery dni i cztery noce w pabianickim kinie „Bajka", a następnie głodnych i zmaltretowanych wywieziono do Radogoszcza. Wśród aresztowanych był nauczyciel, Józef Wolniak. W Radogoszczu kazał mu kiedyś Niemiec posprzątać wartownię. Kiedy się Wolniak nachylił nad podłogą, Niemiec uderzył go i zapytał: „Iluś ty Niemców zabił, polska świnio?" „Nie zabijałem Niemców, byłem dla nich dobry". „Dla kogo byłeś dobry?!" Wolniak wymienił nazwiska dzieci niemieckich, które uczył przed wojną. Niemcy sprawdzili te informacje. Wolniak nie dzielił nigdy dzieci według narodowości, kochał je wszystkie. T o g o u r a t o w a ł o. „Opiekowała się mną, kiedy sam dopiero od ziemi odrastałem, kobieta, która przed tamtą jeszcze wojną ratowała dzieci unitów i wywoziła je do Krakowa. Więziono ją za to. Ja powinienem był stracić życie w Radogoszczu, jak je stracili wszyscy ze mną aresztowani. Jeśli mi zostało, jako zapłata za rzecz tak zwykłą, jak miłość do dzieci, to widocznie to życie jest dzieciom potrzebne. Im je poświęciłem" — taka jest druga legenda Szczercowa.

A losy dzieci, które się stały jej bohaterami? — Jakie one są? Czy — mutatis mutandis — stają się s z c z e r c a m i, czy też częścią tego, co nosi nazwę problemu młodzieży dzisiejszej? — Niech mówią fakty wzięte z doświadczeń szczercowskiego pedagoga.

Jest w szkole szczercowskiej ciąg podstawowy o 15 oddziałach, liczący 600 dzieci i ciąg licealny, w którego 9 oddziałach uczy się 325 dzieci. Kieruje tym wszystkim dyr. Henryk Moskwa, jego zastępcą jest p. Wolniak. Sam Szczerców nie ma tyle dzieci, by szkołę zapełnić, przychodzą więc z okolic i z innych powiatów, a to co tu nazwałem „przychodzeniem" jest w istocie ciężkim wysiłkiem, by zdobyć wiedzę. Ponad sto dzieci dojeżdża z odległości 20—25 km — czym się da — rowerem, PKS. Aby się dostać do autobusu, trzeba w niektórych wypadkach przebyć o świcie kilka kilometrów pieszo. Są dzieci z biednych a wielodzietnych rodzin. Uczą się, a kierownictwo szkoły przyjęło zasadę, że nikt z chcących się uczyć nie odejdzie ze szkoły dla braku pieniędzy. Więc mają pomoc szkoły w tym wszystkim, czego potrzebują — dostają posiłki, mają poza lekciami pomoc ze strony ofiarnych nauczycieli. Więc — jacy są? — właśnie tacy! Pracowici i zdecydowani osiągnąć to, czego nie mogli osiągnąć w życiu ich rodzice. Maleńki Szczerców, na którego ulicach co czwarty przechodzień to dziecko w wieku szkolnym, nie ma z młodzieżą problemów właściwych dużym miastom. Może to dlatego, że Szczerców jest mały? A może ta atmosfera miłości i poświęcenia dla dzieci gra w tych sprawach większą rolę niż jej się zwykle przypisuje.

Absolwenci szczercowskiej szkoły studiują chyba na wszystkich uczelniach Polski. A w szufladzie u dyr. Wolniaka — paczka listów od jednego, który jest dziś profesorem jakiejś australijskiej Akademii Wojskowej i popularyzuje za granicą polskość naszych Ziem Zachodnich.

Pod śniegiem — cegły zwiezione na nowy budynek szkolny. Ich widok każe Józefowi Wolniakowi wspomnieć najcięższe dni swego życia.

„Ustawili nas w Radogoszczu, 6000 więźniów, obstawili karabinami maszynowymi a minister gospodarki narodowej Funk powiedział: „Polacy będą w tym kraju tylko parobkami".

Minister III Rzeszy powiesił się w czasie procesu norymberskiego na ręczniku. A ja w zeszłym roku wręczałem maturę chłopcu, który urodził się w Niemczech, na wygnaniu. I dożyłem tej szczęśliwej chwili, że 20-lecie Polski Ludowej przychodzi do Szczercowa w postaci liceum, na które już zwozi się materiał, a państwo przeznaczyło około 7 milionów".

MIROSŁAW AZEMBSKI

BOLIWIA · ŻEBRAK NA ZŁOTYM KRZEŚLE

Pewnego lipcowego poranka roku 1546 z okrętu, który zawinął do portu Santa Maria (leżącego dzisiaj na terytorium Kolumbii) wysiadł niepozorny ksiądz. W ręku miał tylko brewiarz, a przy sobie kilka zwykłych tobołków, nikt więc z portowej straży nie starał się go zatrzymać; wybrzeża Południowej Ameryki strzeżone były wtedy czujnie, ale wyłącznie przed zbrojnymi rycerzami.

Już wkrótce jednak okazało się, że niesłusznie zlekceważono tę postać. Ksiądz Pedro de la Gasca zaopatrzony był bowiem w specjalne pismo króla Hiszpanii, upoważniające go do... stłumienia buntu Gonzala Pizarra i zaprowadzenia porządku na terytorium podbitego państwa Inków.

Po zdławieniu bowiem indiańskiego oporu, Hiszpanie — jak się tego zresztą można było spodziewać — rozpoczęli między sobą rozgrywkę o władztwo nad zdobytymi ziemiami. Bratobójcze, obfitujące w okrucieństwa walki rozgorzały na szerokim froncie liczącym co najmniej 3.000 kilometrów długości. Czołową postacią obozu buntowników stał się właśnie Gonzalo; powołując się na zasługi zamordowanego brata Franciszka, postanowił wypowiedzieć posłuszeństwo królowi i samemu ogłosić się władcą Peru. Ksiądz Pedro de la Gasca nie znał się na rzemiośle wojennym, ale był zręcznym dyplomatą i zjednywał dla siebie — a co za tym idzie i dla króla Hiszpanii — coraz więcej zwolenników. Wierni dotąd Gonzalowi żołnierze poczęli opuszczać szeregi buntowniczej armii i przechodzić na stronę małego, niezgrabnego księdza.

Gasca długo i szeroko rozprawiał, że chce załatwić wszystkie spory pokojowo — ale w owych czasach — i między awanturniczymi Hiszpanami — nie mogło być o tym mowy. Kto mieczem wojuje, ten go już nie wypuści z ręki, aż do ostatniej chwili życia; tak postąpił Gonzalo, który walczył do ostatka. Schwytano go wreszcie i ścięto. W ten sposób „dobrotliwy" ksiądz zaprowadził porządek w nowo zdobytej kolonii, a spośród pięciu braci Pizarrów, którzy przed osiemnastu laty wyruszyli na podbój wielkiego państwa Inków, pozostał przy życiu tylko jeden: Hernando... odbywający karę w więzieniu hiszpańskim.

Dla uczczenia pokoju, który nastąpił po tej krwawej rozprawie, na południowym brzegu jeziora Titicaca zbudowano nowe miasto i nazwano je La Paz — co oznacza właśnie Pokój. Obecnie jest to stolica Republiki Boliwii. Nic jednak nie pomogła ta piękna i szumna nazwa: nie zapanowały w tych okolicach ani pokój, ani szczęście, aż do dnia dzisiejszego.

BOLIWIJSKI PECH

Uczeni, dziennikarze i turyści w różny sposób określają Boliwię, ale niestety wszystkie te zdania zawierają wspólny ton smutku i politowania. Mówi się więc, że w rodzinie południowoamerykańskich narodów Boliwia jest „dzieckiem od macochy", że to kraj „tragiczny", a już co najmniej „pechowy".

Sporo jest w tym prawdy. Zły los prześladuje Boliwię od dawien dawna, od czasów, gdy nie była jeszcze samodzielnym państwem, lecz jedynie prowincją hiszpańskiego wicekrólestwa Peru. Niektórzy twierdzą, że wówczas Boliwię zgubiło... bogactwo. Być może. W 1545 roku odkryto w miejscowości Potosi najbogatsze na tym kontynencie złoża srebra; kolonizatorzy hiszpańscy całą swoją uwagę skupili na eksploatacji owego cennego metalu, zaniedbując równocześnie rolnictwo i inne dziedziny gospodarki. Miejscowa ludność indiańska zmuszana do niewolniczej pracy w kopalniach, popadała w coraz głębszą nędzę i wymierała masowo. Walki o wyzwolenie się spod hiszpańskiego panowania były tu szczególnie krwawe i chociaż w 1824 roku sam wielki Bolivar uzyskał dla kraju niepodległość, a nawet został jego pierwszym prezydentem (stąd nazwa państwa) — Boliwia wyszła z tego tak osłabiona, że stała się łatwym łupem dla sąsiadów. Chile odebrało jej dostęp do morza, Argentyna zagarnęła pokaźne terytoria przygraniczne, Brazylia „kupiła" za śmieszną cenę boliwijski okręg Acre, a Paragwaj zabrał większość terenów hodowlanych okręgu Chaco i co gorsza, uniemożliwił Boliwii korzystanie z komunikacji wodnej rzekami, które łączą się z La Platą i Oceanem Atlantyckim.

Na domiar złego ten wielki kraj o bardzo skąpym zaludnieniu (1.098.581 kilometrów kwadratowych i tylko 3.650.000 mieszkańców) rządzony był zawsze przez dyktatorów, równie okrutnych jak nieoświeconych. Rekord ciemnoty pobił podobno Mariano Malgarejo (1864—1871), który lubił dowodzić swoim podwładnym, że „generał Napoleon był znacznie zdolniejszy od Bonapartego". Liczne i krwawe rewolucje, które wstrząsały Boliwią, niczego narodowi nie przyniosły: zmieniał się tylko władca, a nędza i wyzysk trwały po dawnemu.

Czy Boliwia dzisiejsza może mieć nadzieję na lepszą trochę przyszłość?

KOLONI I KOKA

Wielki kraj boliwijski rozpada się jak gdyby na dwie części, niewiele mające ze sobą wspólnego. Część wschodnia, zwana po prostu Oriente, krajobrazem i warunkami życia przypomina peruwiańską Montanię; są to przeważnie niziny porośnięte tropikalną dżunglą, bagniste, bardzo słabo zagospodarowane, gdzieniegdzie prawie zupełnie bezludne. Część zachodnia, to słynny Altiplano, płaskowyż andyjski, obramowany z dwu stron łańcuchami gór dochodzących do 7.000 m wysokości.

O terytorium Oriente dużo się dzisiaj rozprawia. „Tutaj leży przyszłość Boliwii" — powiadają zupełnie słusznie znawcy tego kraju. Obszarów pod uprawę roli na pewno tu nie zabraknie: Oriente zajmuje 70 proc. powierzchni całego państwa, i chodzi tylko o tą, żeby go zaludnić i odpowiednio zagospodarować. Czy będzie to jednak zadanie łatwe?

Podróżnik, który znajdzie się w tych stronach, bywa zaskoczony nie tyle dzikością przyrody, ile sposobem życia ludzi. Wydaje mu się chwilami, że czas zatrzymał się tutaj gdzieś w okresie średniowiecza. Jeszcze do niedawna, a ściślej mówiąc do roku 1952, olbrzymie obszary Oriente należały do garstki ludzi; majątki ziemskie liczyły po kilkanaście, a nawet po kilkadziesiąt tysięcy hektarów, lecz uprawiano z tego najwyżej dziesięć, czy dwadzieścia. Uprawiano — ale jak! Motyka i szpadel, oto jedyne narzędzia pracy. Zwierzęta pociągowe w ogóle nie były tu znane. Samodzielnym ośrodkiem gospodarczym był folwark boliwijski, zwany „finca".

Folwark — wielkie słowo. „Finca" składała się z kilkunastu glinianych chałup, krytych falistą blachą, bez drzwi i okien — oraz z jednej nieco pokaźniejszej, gdzie mieszkał administrator. A co z właścicielem? Przyjeżdżał do swojej „finca" najwyżej raz na rok, więc niepotrzebny był mu żaden okazały dom. O świcie z chałup wychodzili półnadzy robotnicy indiańscy i pod strażą dozorcy udawali się w pole. Po drodze dołączali do nich „koloni", chłopi pańszczyźniani, którzy pradawnym obyczajem musieli przepracować za darmo w folwarku trzy, albo cztery dni w tygodniu. Szpadle i motyki przynosili własne — również i to nakazywał obyczaj. Niebawem szpaler mężczyzn przystępował do karczowania puszczy, przed tem wypalonej. Obok pracujących w tropikalnym słońcu ludzi stał dozorca z pejczem w ręku; za „opieszałość" wymierzał chłostę... Kiedy przybysz z obcych stron pytał go, jakim prawem dopuszcza się takich czynów, odpowiadał, że takiego prawa nie ma nigdzie na piśmie, ale Indianin i tak się nikomu nie poskarży, ponieważ prefekt policji lub sędzia stanie zawsze po stronie właściciela folwarku. „Trzeba tylko uważać — mówił dozorca — żeby nie pobić kolona zbyt dotkliwie, bo w tym wypadku mogą być nieprzyjemności. Mamy zresztą specjalny, grubszy pejcz na mężczyzn, a inny, cieńszy, na kobiety..." Właściciele zapytywani o te sprawy, dodawali, iż praca przymusowa na „fincach" jest jedynym wyjściem dla rolnictwa, gdyż kraj ma słabe zaludnienie i brakuje mu siły roboczej.

Reforma rolna, uchwalona w roku 1952, zniosła pracę pańszczyźnianą (niestety często tylko na papierze) i pozwoliła na obejmowanie nie uprawianych dotąd gruntów przez chłopów. Od tego czasu produkcja rolna Oriente nieco wzrosła, ale i tak jest bardzo niezadowalająca. Boliwia — kraj, w którym 60 proc. ludności zajmuje się rolnictwem — musi sprowadzać żywność z zagranicy, a Oriente, okręg rozporządzający olbrzymimi obszarami ziemi, kupuje mięso, zboże, kartofle i jarzyny od kupców przyjeżdżających z nieurodzajnego Altiplano. Dlaczego tak się dzieje?

W „fincach" Oriente uprawia się wcale nie to, co służy wyżywieniu ludności, lecz to, co przyczynia się do wyniszczenia jej zdrowia i życia. Od setek lat plantacje dostarczają koki, narkotycznej rośliny, której liście żują boliwijscy Indianie, by stłumić uczucie głodu i zmęczenia. Drugim produktem jest trzcina cukrowa, ale nie wyrabia się z niej cukru, tylko... alkohol, za który — podobnie jak za kokę — można uzyskać wysokie ceny. Niewielkie pólka bananów i kukurydzy utrzymuje się jedynie dla wyżywienia robotników...

Ludzie dobrej woli — gdyż w Boliwii takich nie brakuje — zastanawiają się często, co zrobić, aby reforma rolna dała wreszcie jakieś wyniki. Dochodzą do wniosku, że przede wszystkim trzeba usprawnić komunikację pomiędzy Oriente, a całą resztą kraju. Drogi boliwijskie są w fatalnym stanie, trudno więc przewozić produkty, a brak możliwości sprzedaży nie zachęca przecież rolników do wydajniejszej pracy. Na zachodzie niedostępne góry, na wschodzie niechętni sąsiedzi, posiadający zresztą te same produkty rolnicze — oto trudności, które trzeba jakoś przezwyciężyć. Komunikacja lotnicza nie załatwia jeszcze sprawy, ponieważ jest zbyt droga i zbyt niedogodna do transportu produktów rolnych. Oriente, to niewątpliwie kraj przyszłości, ale dosyć dalekiej...

O miejskich ośrodkach Oriente nie wiele da się powiedzieć. Głównym miastem jest Santa Cruz, leżące na szlaku lotniczym wschód — zachód. Kilkanaście barów, kilka kin panoramicznych i hoteli — to wszystko. Turyści podziwiają tu park miejski porośnięty egzotycznymi drzewami i kwiatami, który nie jest niczym innym, jak tylko kawałkiem oryginalnej puszczy boliwijskiej, pozostawionej w środku zabudowy. Do Santa Cruz przyjeżdża się tylko i zaraz odjeżdża, dłużej zostaje jedynie ten, kto musi. Ostatnio kręci się tu trochę cudzoziemców, którzy wywęszyli naftę. W okolicach Santa Cruz odkryto bogate podobno tereny naftowe; zainteresowały się już nimi towarzystwa brytyjskie, kanadyjskie i północnoamerykańskie; teraz, jak zawsze i wszędzie, będą się starały tak pokierować interesami, aby Boliwia zarobiła na swojej nafcie jak najmniej, one zaś jak najwięcej. „Przyszłość Oriente to nafta" — mówią cudzoziemcy i zapewne także mają rację. Przemysł w pobliżu terenów rolniczych, to przecież bardzo szczęśliwe połączenie, rzecz jedynie w tym, aby przynosiło ono „lubyłcom" — coś więcej od koki i alkoholu, które dają złudzenie lepszego życia, a w istocie czynią je jeszcze tragiczniejszym...

SMUTNE ALTIPLANO

Podróżnik zwiedzający główne miasta Boliwii mówi ciągle o wysokościach, na jakich się one znajdują, nie może o nich zapomnieć. I nic dziwnego: stolica La Paz, leży na wysokości 3800 metrów nad poziomem morza, zabytkowe miasto Sucre — na 2865 metrach, a słynny ośrodek górniczy Potosi — na 4060. Zapomnieć o tym nie można, bo nawet organizm nie pozwala. Przybyszom często krew rzuca się nosem i uszami, dostają zawrotów głowy, mdleją, męczą się łatwo, po wyjściu z samolotu nie są w stanie unieść chociażby małej walizki. Nie zdarzyło się jeszcze, aby jakakolwiek mistrzowska drużyna piłkarska z innego kraju wygrała z reprezentacją Boliwii na boisku w La Paz. Państwa ościenne wysyłają na swoje placówki dyplomatyczne specjalnie dobranych ludzi, silnych fizycznie i stosunkowo młodych.

Dziwne rzeczy dzieją się tu nie tylko z ludźmi, ale i z przedmiotami. Większość nie przystosowanych do panującego tu ciśnienia samochodów zaczyna nagle prychać komicznie, traci szybkość, w końcu staje. Papierosy, odłożone na moment, gasną natychmiast wskutek braku tlenu. Mięso w garnku pozostaje twarde, chociaż gotuje się długo; woda wrze bowiem nie w temperaturze stu stopni, lecz już osiemdziesięciu — a to nie wystarcza do zmiękczenia niektórych potraw. Najtrudniejsze zadania mają jednak zawsze lotnicy ze swymi maszynami: gdy startują z najwyżej na świecie położonego lotniska La Paz (4089 m), muszą wykazać nie lada sprawność, żeby w tak bardzo rozrzedzonym powietrzu unieść się wreszcie w górę.

A jednak Boliwianie żyją tutaj i pracują, ba — w Kordylierach i na płaskowyżu zwanym Altiplano istnieją największe w kraju skupiska ludzkie; w Oriente przeciętna gęstość zaludnienia wynosi 0,6 osób na kilometr kwadratowy, a w części górzystej 3,15...

Nie znaczy to jednak, że wiedzie się ludziom dobrze, zwłaszcza tym, którzy stanowią olbrzymią większość obywateli — Indianom ze szczepów Keczua i Ajmara oraz Metysom. Oczywiście przyczyną ich nieszczęść nie są ani zawroty głowy, ani nie dogotowane mięso; do życia na wielkich wysokościach przyzwyczaili się od wieków, a mięso jadają bardzo rzadko. Ich wrogiem jest klimat, ale tylko dlatego, że pozwala jedynie na uprawę wątłego zboża i kartofli oraz na hodowlę wyłącznie lam i owiec. Altiplano, ta olbrzymia, ciągnąca się setkami kilometrów trawiasta wyżyna, latem smagana wiatrami, a zimą chłostana deszczem znagła przechodzącym w śnieżycę, przedstawia sobą obraz smutku i opuszczenia. Gdzieniegdzie na rozległej przestrzeni Altiplano spotyka się małe wioski indiańskie, złożone z prymitywnych, glinianych chałupek, widzi się czasem stadko owiec — i to już wszystko. Bura jest ziemia, bure trawy i chwasty, bure chaty — natomiast stroje ludzi odznaczają się żywymi barwami. Indianie, podobnie jak w Andach peruwiańskich, lubują się w żywych kolorach odzienia, jak gdyby chcieli w ten sposób zaprotestować przeciwko szarzyźnie przyrody. Kobiety noszą czerwone lub żółte kubraki i wysokie białe kapelusze. W niektórych okolicach modne są meloniki. Zwykłe, europejskie meloniki; miejscowe strojnisię dostrzegły je podobno kiedyś na głowach Hiszpanów i uznały za najpiękniejsze nakrycie głowy na świecie. Mężczyźni, chociaż skromniejsi w stroju, noszą „poncho" z bardzo barwnych tkanin.

Jak sobie radzą ci Indianie, odcięci od świata kilometrami bezdrożnej pustyni, pozbawieni szkół, lekarzy, rozrywek kulturalnych?

Niestety, jest to — jak ktoś powiedział — „lud chory", wyczerpany, na pozór obojętny na wszystko, zawsze przygnębiony i nieufny. Ale wcale nie tępy, ani prymitywny — co stale starają się podkreślać „biali panowie". Jeśli w pobliżu wsi znajduje się szkoła, Indianin chętnie posyła tam dzieci, które wykazują często niemałe zdolności. Z pomocy lekarza również korzystałby chętnie, gdyby go było na to stać. W wypadku poważniejszej choroby bez oporu poszedłby do szpitala, wie jednak, że bardzo tam ciężko o miejsce: prawo boliwijskie daje pierwszeństwo w leczeniu pacjentom, którzy za to płacą, a więc nie wynędzniałym chłopom z Altiplano. Rozrywki? Przykro powiedzieć, ale jedyną rozrywką jest alkohol, nadużywany i na co dzień i podczas wioskowych świąt zwanych „fiesta".

Raz na jakiś czas Indianin wybiera się do pobliskiego miasteczka; rzecz prosta tylko wtedy, gdy rozmyte deszczami drogi nie zdążyły się jeszcze zamienić w gliniastą papkę. Jest to wielki dzień w jego życiu, pełen atrakcji. Już sam jarmark, rojny i gwarny, daje mu wiele przeżyć. Później, po szczęśliwej sprzedaży towarów — garnków, tkanin, owoców, kwiatów — może obejrzeć walkę byków, albo po prostu... procesję, która w Boliwii odbywa się zawsze w nastroju wielkiej pompy i wesołości, przy akompaniamencie rzucanych petard i sztucznych ogni. Wiele świąt u nas obchodzonych ze smutkiem i powagą, takich jak na przykład Zaduszki, tam na odwrót — czci się tańcem i śpiewami.

Altiplano leży przeciętnie na wysokości 3.500 metrów nad poziomem morza, ale ludzi spotyka się jeszcze wyżej, w górach sięgających 4000 i 5000 metrów, tam, gdzie nie rosną już nawet rude, wysuszone trawy, gdzie na zboczach gór leżą wieczne śniegi i lodowce, gdzie ostrożny europejski alpinista zakłada już raki na buty, a na grzbiet kilka swetrów i nieprzemakalnych skafandrów. Ludzie spotykani wśród szczytów noszą trochę grubsze „poncho" i niekiedy czapkę z nausznikami, ale nie mają rękawic, a gołe ich nogi obute są tylko w rodzaj kaloszy sporządzonych ze starych opon samochodu. Wieczorem, o świcie, w różnych porach dnia wspinają się gdzieś do góry i nikną w załomach skał. Czasem hełm na głowie i karbidowa latarka w ręku zdradzają, że to górnicy — ludzie, którzy swoją pracą sprawiają, że Boliwia zdobywa jakieś dochody i w ogóle istnieje jako państwo.

Z całego obszaru Boliwii tylko 2 proc. powierzchni użytkują rolnicy. Przemysł jest również bardzo słabo rozwinięty, prawie nie istnieje. We wnętrzu gór natomiast spoczywa, podobnie jak w Peru, prawdziwe bogactwo, które pozwala krajowi „wiązać koniec z końcem": cyna, wolfram, antymon, ołów, cynk, miedź, srebro i złoto. Boliwia to — jak powiedział ktoś złośliwie dowcipny — „żebrak siedzący na złotym krześle". Nędzny kraj o wielkich, niewyzyskanych możliwościach.

Historia górskich skarbów Boliwii jest równie interesująca jak ponura. Rozpoczyna się ona — już o tym wspomnieliśmy — odkryciem srebra w czasach najazdu Hiszpanów.

Był to rok 1545. Któregoś dnia Indianinowi zamieszkałemu u stóp wzgórza Potosi (4200 m) uciekła lama. Goniąc za zwierzęciem pośliznął się na zboczu i straciwszy równowagę, chwycił za gałąź krzaka. Krzak wymsknął się z ziemi, a na jego korzeniach zamigotały błyszczące kulki metalu. Było to odkrycie największych na świecie złóż srebra, które przez blisko dwieście lat miały stanowić główne źródło dochodu z kolonii hiszpańskich w Ameryce Południowej.

Potosi, niepozorna wioszczyna indiańska, ściągać poczęła awanturników wszelkiego autoramentu, którzy chcieli obłowić się srebrem, samemu oczywiście... nie schodząc pod ziemię. Ale od czegóż byli Indianie! Hiszpanie urządzali polowania na okoliczną ludność, zmuszając ją siłą do pracy. Później, gdy traktowani nieludzko robotnicy zaczęli masowo wymierać i trudno było o nowych, wprowadzono dla nich łagodniejsze prawa: każdy pracujący pod ziemią mógł raz w tygodniu wydobywać srebro dla siebie. Srebra wówczas było w bród i takie „dobrodziejstwa" przychodziły Hiszpanom dość łatwo.

W roku 1700 liczy Potosi już 120.000 mieszkańców i jest najludniejszym miastem na kontynencie Południowej Ameryki! Dla porównania wystarczy dodać, że Buenos Aires (dziś 5.000.000 ludzi) liczyło wtedy 30.000 mieszkańców... „Cesarskie Miasto Potosi" — bo tak się wówczas nazywało — szczyciło się pałacami z pięknego górskiego kamienia, przepychem kościołów i katedr. Całą Hiszpanię zaopatrzało w srebro, wybijało dla niej monety, i za te zasługi obsypywane było zaszczytami: kierownicy kopalń bardzo często otrzymywali od cesarza wysokie godności szlacheckie i odznaczenia.

Dzisiaj ten złoty, a raczej „srebrny" okres Potosi należy do przeszłości, jakkolwiek tutejsze kopalnie wcale nie straciły na znaczeniu. Wyczerpały się zasoby srebra, lecz okazało się zaraz, iż góry Boliwii obfitują w inne metale, na które dawniej nie zwracano uwagi, w metale w naszej epoce bardziej może cenione niż srebro: w cynę, na przykład. Zmieniły się czasy, zmieniła się technika górnicza i zmienili się ludzie — ale to, co najbardziej bolesne, pozostało: wyzysk robotnika. Na miejscu konkwistadora i cesarskiego urzędnika pojawił się kapitalista, najczęściej cudzoziemiec. Górnicy — oczywiście Indianie — mają się może nieco lepiej, niż chłopi z Altiplano, ale płacić muszą za to niezwykle wyczerpującą pracą. Z szybów na szczytach gór, z mroźnej krainy wiecznych śniegów, zjeżdżają szybkimi windami do chodników położonych o tysiąc metrów niżej, gdzie temperatura przekracza często 50 st. ciepła. Pracują nago. Kopalnie są źle wentylowane, co daje się szczególnie we znaki owym ludziom, przyzwyczajonym do czystego górskiego powietrza. Kierownicy kopalń, z reguły cudzoziemcy, mało dbają o stan urządzeń mechanicznych, często więc zdarzają się katastrofy.

Ostatnie lata zmieniły jednak i położenie górników. Skupieni w wielkich ośrodkach wydobywczych pozbyli się bierności i zastrachania, wystąpili do walki o swoje prawa. W ciągu dwóch tylko lat (1958 i 1959) zorganizowano w Boliwii ponad 500 strajków, większość górniczych. Ustępując przed groźbami strajkujących rząd przeprowadził upaństwowienie kopalń cyny i usunął z nich zagranicznych właścicieli. Po upaństwowieniu strajki trwają jednak nadal i walka między pracującymi a pracodawcami nawet się zaostrza. W 1963 roku doszło do dramatycznych zajść w jednej z kopalń cyny. Gdy policja państwowa aresztowała kilku przywódców związku górników, milicja górnicza w odwet za to uwięziła dziesięciu cudzoziemskich specjalistów i zapowiedziała, że zwolni ich dopiero po wypuszczeniu tamtych. Porwani przez Indian! A więc sytuacja jak gdyby wymyślona przez Karola Maya, albo Fenimore Coopera. Wszystko to jednak inaczej wyglądało niż w powieści. Cudzoziemskich inżynierów, w większości Jankesów, trzymali górnicy pod strażą daleko w górach, ale traktowali grzecznie i dogadzali im nawet w miarę możliwości; więźniowie dostawali befsztyki, kawę, papierosy, mogli grać w karty i szachy. Jeden z inżynierów skorzystał z propozycji przesłania za pośrednictwem radiostacji górniczej uspokajającej depeszy do ambasadora Stanów Zjednoczonych z Boliwii. „Tutaj Tom Martin z kopalni Siglo XX — mówił w imieniu inżyniera spiker. — Jesteśmy uwięzieni od 13 godzin. Traktuje się nas grzecznie, centrala związkowa obciążyła tutejsze władze odpowiedzialnością za nasze bezpieczeństwo. Na zebraniu z udziałem 1.800 górników postanowiono zwolnić nas zaraz po wypuszczeniu Escobara i Pimentela".

Tak też się i stało — Jankesi zostali zwolnieni, nasłuchali się tylko gorzkiej prawdy o wyzysku Boliwii przez cudzoziemców. Będąc obecni na wiecu blisko dwóch tysięcy uzbrojonych górników, zrozumieli, że andyjscy Indianie przestali już być bezwolną i pokorną masą, że nie są półdzikimi buntownikami, lecz ludźmi, którzy świadomie i w sposób zorganizowany dążą do wywalczenia należnych im praw do chleba i szkoły.

O mało nie doszło wtedy do prawdziwej rewolucji. Właśnie, do prawdziwej... Bo przewrotów „rewolucyjnych" tylko z nazwy nigdy w Boliwii nie brakowało, nie miały one jednak nic wspólnego z interesami robotników i chłopów. Ale o tym później.

RYSZARD KLIMCZAK

Wiktor

Szli szerokim duktem. Gęsiego, po obu skrajach leśnej drogi. Karabiny przerzucone przez ramię, jak łopaty. Lufą do przodu. Równoważnia. Tak jest wygodniej nieść i mniej się odczuwa ucisk kolby na ramieniu. Wchłaniał ich mrok.

Maszerują bez pośpiechu, w pozornym bałaganie. Nogi potykają się o korzenie. Ciemno.

Czarna sylwetka odrywa się od kolumny. Niknie w mroku. Wiktor opuszcza oddział. Wiktor ma osiemnaście lat. Nie jest dzieckiem. Nie bawi się w chowanego jak dziecko. Kuca pod krzakiem. Potem goni oddział. Kuca... goni. Kuca... goni. Już tak parę godzin.

Wiktor szybkimi ruchami odpina pas. Zakłada na szyję. Karabin kładzie na ziemi. Tuż przy nodze. Ściąga spodnie. Kuca.

Leje się z niego cuchnąca ciecz. Jeszcze nie odczuwa bólu. — Śmieszne. Zupełnie nie podlegam prawu tarcia. Gdybym był ułanem... — Wiktor śmieje się bezgłośnie... — miałbym całkiem osrane ostrogi.

Uczuł piekący ból w odbytnicy. — To pewnie już. — Wiktor wstaje. Plączą się w palcach guziki kalesonów z dziurkami spodni. Spieszy się. Zapina pas. Karabin w garść. Biegnie. Goni oddział. Dołączył. Maszeruje, jak inni. Rytmicznie, bez pośpiechu.

Odgłosy kroków wchłania jak gąbka las i noc. Idą w milczeniu. Zatopieni w myślach. Ogromna koncentracja myśli kilkudziesięciu ludzi. — Doskonały aparat. Pracuje bezszmerowo. Gdyby praca mózgu była słyszalna dla ucha... Albo inaczej. Gdyby ucho było tak doskonałe i słyszało pracę mózgu... Człowiek by oszalał.

Ktoś zaklął głośno. Gałąź smagnęła po twarzy. Ci, w tyle, wloką nogę za nogą, na poły śpiąc.

Wiktor nie będzie tej nocy spał w marszu, choć sztukę tę opanował. Oblicza w myśli: — przeszli kilometr. — Spogląda na fosforyzowane wskazówki zegarka. — Kilometr jak uciął. Minęło dziesięć minut.

Poczuł śmigło w brzuchu i wiercący ból. Odrywa go od kolumny nieznośne uczucie parcia. Wiktor nerwowo szarpie pas. Zwalnia zaczepy klamry. Zakłada na szyję. Granaty ściągają pas ku ziemi. Kładzie karabin. Spuszcza spodnie. Kuca. Zbiera mu się na wymioty. Obolała odbytnica pluje mazią. — Skąd się we mnie bierze tyle tego świństwa. — Stęka. — Wstać już, czy jeszcze nie.

Cichną kroki oddalającej się kolumny. — Przez dziesięć minut... dużo... można oddalić się cały kilometr. — Wiktor denerwuje się. Wstaje. Znowu kuca gwałtownie. — Jeszcze nie. — Stękanie zmienia się w czkawkę.

Wiktor nuci:

...Srebrny księżyca blask,
nie dał w nocy mi spać,
wziąłem papier w garść,
poszedłem do sadu srrrr...
Srebrny księżyca blask...

— Tak można w kółko. Aż do znudzenia. — Uśmiechnął się. — Tę piosenkę śpiewali na szkolnym obozie przysposobienia wojskowego Jeszcze przed wojną. Życie w stadzie. To, nawet najbardziej intymne. Siadywali społem na drągu obozowej latryny i... śpiewali. — Chyba już.

Wiktor wciąga spodnie. Przerzuca karabin przez ramię. W biegu zapina pas. Goni oddział. Dołączył do kolumny. Nie zauważyli jak odstał, ani kiedy dołączył. Maszeruje.

Wolno palić. Kto ma, ćmi papierosa. Żarzą się czerwone ogniki. Zataczają niewielki łuk, zarysowany w ciemności ruchem ręki.

Wiktor zatrzymał się. Ściska kolana. — Może przejdzie. — Nie. — Odpina pas. Ściąga spodnie. Kładzie przy prawej stopie karabin. Jęczy.

— Oddział oddalił się z pięćset metrów — oblicza Wiktor. Jest sam wśród nocy i lasu. Może mówić do siebie. Głośno.

— Oto co rządzi człowiekiem. Na każdego może przyjść taki czas. Wcześniej, czy później. — Wiktor jęczy. Znowu ma czkawkę.

— Profesor Jańcza... stary dziadźka... wykładał historię. Uśmiechał się. Dziwacznie... kącikiem ust. Miał miłą twarz, wcale nie starą... i zupełnie siwą głowę. Opowiadał o dezynterii w armii... gdzie to było? Wojna Krymska? Czort zresztą wie, gdzie... Tego w żadnym podręczniku historii nie wyczytasz... Zachorowała masa żołnierzy. To osłabiło zdolność bojową. W przeddzień rozstrzygającej bitwy, głównodowodzący... zaraz — Wiktor nie może sobie przypomnieć nazwiska generała — wydał rozkaz: karać śmiercią chorych na dezynterię. Rozstrzelać każdego, kto lata za krzaki. Rozkaz pomógł. Żołnierze nie szli do lazaretów, nie żądali leków, nie kucali. Strach uzdrowił wojsko. Psycholog, czy barbarzyńca? Podobno wygrał...?

— Czy taki rozkaz wstrzymałby moją „lataczkę" — myśli Wiktor... — „Carbo animalis... tak się to chyba nazywa w aptekarskiej łacinie. Skąd wytrzasnąć taki lek?

Zapina spodnie. Chwyta karabin. Zgonił się, zanim dopędził kolumnę. Sapie z wysiłku. Oddział maszeruje sennym krokiem.

— Niebawem będzie dniało. — Wiktor spogląda na niebo. Mocniej ściska pasem obolały brzuch.

Dają mu skrzynkę z amunicją. Jego kolej, by nieść. Ciężka. Cholernie ciężka. Niesie.

Nowy nalot bólu. Wiktor kładzie na ziemi skrzynkę. Rzuca karabin... odpina pas. Ile to było już razy? Dziesięć? Dwadzieścia? Nie może się doliczyć... Ma dość...

Dnieje. Oddział wkracza na polanę. Las rzednie. Chwila wytchnienia. Za lasem wąwóz. Dalej — wioska, pola. Za nimi kompleks lasów. Tam mają odpocząć.

Byle oddział osiągnął ten las. To nie jest łatwe. Już dzień. Grozi im przemarsz w odsłoniętym terenie. Kapitan klnie. Przed świtem nie osiągnęli celu.

Wiktor wbiegł na polanę, gdy oddział ruszał.

Idą polem ku wiosce.

I nagle: bach! bach! Szpica spotyka Niemców. Dowódca orientuje teren.

— Tyraliera w prawo! Naprzód!

— Bach! Bach! Bach! Trrrrr. Ta, ta, ta. Palba nasila się. Oddział rusza do przodu.

— Jeśli zrobię w portki, pomyślą, że miałem pietra. Psiakrew! — myśli Wiktor. — Tego się nie da ukryć. Zobaczą. Przecież będę prał gacie!

Walka wre. Niemcy zaczęli natarcie. Jedni prowadzą ogień, drudzy — skokami, posuwają się do przodu. Na chwilę znieruchomieli. Spłaszczyli się. Erkaem Wiktora rzucił ich ku ziemi. Ogień ujawnił stanowisko Wiktora. Niemcy prują długimi seriami.

Wiktor kładzie ogień na lewo. Zauważył pojedyncze cele. Mierzy starannie.

Dowódca wysyła pluton do przeciwnatarcia. Zachodzą Niemców z boku. Zadanie: zniszczyć cekaem nepla.

— Naprzód! Tyraliera rusza do ataku.

Wiktor trwa przy skraju lasu, za krzakiem. Ból skręca mu jelita. Szybko ściąga spodnie. Leje się z niego zielonokrwawa ciecz. Jęczy. Kątem oka obserwuje, tam, w przodzie, bitwę. Mierzy starannie. Strzela.

Niemcy sieją niszczycielski ogień po wycofującej się tyralierze. Niektórzy zajmują stanowiska przy lesie. Bronią się.

Wiktor bezmyślnie obserwuje walkę. Męczy się. Nie może wstać.

Gwiżdżą dookoła pociski. Gwizdu pocisku, który tępym uderzeniem razi w czoło, Wiktor nie słyszał.

Trafieni śmiertelnie w boju padają na twarz. Wiktor nie chyli się do przodu. Ciężar ciała skulonego w kucki przechyla Wiktora ku tyłowi. Pocisk wyszarpał mu w tyle czaszki jamę. Niemcy strzelali kulami dum-dum.

Nie weszli w las. Poniechali walki.

Koledzy oblegają ciało Wiktora. Krzywią się. Ten i ów spluwa:

Kapitan odwraca oczy. — Tchórzliwe bydlę... — mówi.

— Może go jednak pogrzebać — ktoś szepnął.

ROBERT GLUTH

MINIATURY

CZAS

Próbuję rozumować spokojnie. Że bilans w końcu zawsze jest ujemny: odchodzimy, zostawiamy, opuszczają nas. Za nami coraz więcej twarzy nieruchomych — zacierają się. I coraz więcej pól martwicowych w nas samych, zwapnionych pragnień, porażonych ambicji.

Boję się jednak. Wszystko we mnie krzyczy, żeby odwlec. Uformowana ze słabości, podszyta neurastenicznym lękiem, karmiona niewygasłym pragnieniem — kiełkuje nasza nienawiść.

Podchodzimy do siebie z zaciśniętymi zębami. Jakże łatwo nam się porozumieć: lubiliśmy ten lokal, ten alkohol, tę melodię, ulicę, to łóżko, taką pieszczotę. Oto ściany naszego małego piekła: Tu możemy oszukiwać się względnie bezpiecznie.

Kiedy jednak twoje ciało powoli zasklepia się nad ranem, a mój pot wysycha na twoim brzuchu i piersiach — wtedy wiemy na pewno, że daliśmy sobie krzyk prawie jednoczesny i wspaniałe cierpienie tkanek. Że to była nasza prawda, gdy opuściły nas myśli i słowa. Samotna prawda zatrzymanego czasu.

Usypiając, myślimy o sobie z wdzięcznością. Rozpacz przychodzi we śnie. Budzimy się z zaciśniętymi zębami. Próbujemy rozumować spokojnie.

ŚPIEWAJĄCY PIES

Emeryt mieszka pod niebem. Dokładnie pod samym niebem. Przez ten czas dom się jakoś wydłużył, wyostrzyły krawędzie murów.

O, suka była znacznie ładniejsza. Usiądzie dzisiaj — sterczą gnaty bioder. Zielonkawo patrzy spode łba.

Ona kaszle. On tego nie może znieść. Krzyczy — przestań. Prosi, żeby przestała. Nawet uderzył. Przerażony ogląda teraz swoją obcą rękę.

Myśli, że umrze rano na schodach, niosąc dla niej mleko. Jest przygotowany, oswoił się.

Więc delikatnie próbuje najgorszego tematu: będzie stała cierpliwie za drzwiami. Nigdy nie piszczy. Zakaszle nerwowo. Wtedy właśnie serce pęknie.

(Jak każda do przesady swobodna istota, nie docenia łaskawości losu: nie usłyszy przecież cichego, urywanego śpiewu, którym wyliniałe suki oszukują się przez pewien czas — zanim pysk rozerwie wilcze łkanie, odczłowieczające psa bezpowrotnie.)

STEFAN FLUKOWSKI

PŁOCK

W tysiącznym roku
stolica Mazowsza — — —
Tutaj pacholę Bolko, syn księcia,
cwałem konia jak toporem kładł puszcze i
pędem-grotem przebijał kudłate śnieżyce,
na rogach jelenich trzepotał
dźwięczny dzwonek jego głosu.
Tutaj, w katedrze spoczął Krzywoustym,
nadzieją, w łonie której utajona korona.

Przetaczają się kule gromów
po sklepieniach modrzewiowych puszcz —
w ciemnościach
świecą księcia rysie źrenice —
ślizgają się błyski mieczów
po ulewach siekących z ukosa —
głaz grobu jęczy otchłanią dzwonu
gdy wróg w granicach.

NA WIŚLANYM ZALEWIE

Na Wiślanym Zalewie
dwie proste —
droga miłości
droga śmierci;
dwa światy
ziemia — gwiazdy
góra — dół
wiara — dowód
a wszystko jeden byt —
który raz mrokiem
raz jak słońce

Zalewem Wiślanym
żagiel płynie —
biała kartka papieru,
trójkąt wpisany między horyzont
i drogę miłości.
Żagiel list trójkąt,
przez Zalew Wiślany sunie
ptak samotny
wiatrem przychylnym pchany.

Pod żaglem bezmiesięcznej nocy
zadumany człowiek
w wyłączności ciszy
nadąża
drogą śmierci do prawdy
określanej położeniem gwiazd.
Ciężkie fale dźwięczą
ławicami ryb.

Orion za Artemidą w pogoni
tuż za nim z chrzęstem
ołowiane skorpiony:
ścigającego ścigany dopada.

KADENCJA

Między Fromborkiem i Gdańskiem
igrają wesołe delfiny — fale,
plażą wlecze się leniwie
opalony na brąz
nagi chłopczyk, duży na dwie stopy,
z łukiem i blaszanym kubełkiem
do którego zbiera bursztyny.

Nad czym pracują pisarze?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

W sierpniu powinien się ukazać w „Czytelniku" zbiór nowel pt. „Zgaś papierosa, Jack". W najbliższym numerze „Osnowy" — nowela pt. „Niedziela". Nie wiem na razie, czy i gdzie drukowane będą dalsze opowiadania, te nieliczne — gotowe, i te bardziej liczne — zamierzone. Kiedyś zapewne znów będę próbował wydać je w książce, nie wcześniej jak za rok.

Jednocześnie piszę wiele — i nie zamierzam przestać — dla radia oraz stale felietony i sporadyczne szkice, opowiadania, humoreski — dla prasy. Wszystkiego razem w stosunku do ambicji o wiele za mało, ale wobec niełatwej i całkiem innej pracy zawodowej — to już tuż przy granicy możliwości czasowych.

Ale przecież nikt mi nie każe. Byleby to, co się pisze, odpowiadało zamysłowi i potrzebie — własnej i czytelniczej.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

O człowieku który odzyskał pamięć

Nagrodzona na konkursie ZLP i Woj. RN w Łodzi książka Romana Łobody „PODWÓJNY ROZDZIAŁ"* jest drugą z kolei powieścią tego autora, który — warto przypomnieć — debiutował nie jako prozaik, lecz jako poeta w 1960 r. tomem wierszy „Szósty smak". W „Podwójnym rozdziale" Łoboda opowiada bardzo interesującą historię młodego człowieka, który — na skutek ciężkiej rany odniesionej w okolicznościach wojennych — uległ częściowej amnezji: zatarły się w jego świadomości przeżycia tamtych lat cierpień, grozy i śmierci, osłabiła również chłonność pamięci bieżącej. Taki stan rzeczy wprowadza w jego powojenne życie bardzo trudne komplikacje: Klemens Burzaty — bohater powieści — zmuszony jest porzucić studia medyczne, rozpoczęte jeszcze przed wojną; zostaje na czas jakiś kierowcą, szybko, przymusowo rozstaje się z tym zawodem, po czym popada w ostateczną nędzę, która zdaje się znaczyć jego los piętnem tragizmu i beznadziei.

Ale różnie się plecie na tym naszym świecie. Było ongi w częstym obiegu powiedzenie: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło". Oczywiście, nie należy generalizować słuszności tych słów: bywa przecież nieraz zło nieodwołalne i ostateczne. W przypadku Klemensa było jednak inaczej: właśnie pod wpływem ciężkich i bolesnych doświadczeń w jego psychice następuje zbawienny wstrząs i przełom, mechanizm pamięciowy dochodzi do równowagi, gęsta mgła zapomnienia rozprasza się i znika, Klemens Burzaty będzie mógł rozpocząć nową egzystencję, żyjąc już pełnią świadomości, a nie tylko jej częścią.

Oto w skrócie fabularny schemat nowej powieści Romana Łobody, napisanej, jak już wspomniałem, w sposób nie banalny, z polotem i widoczną starannością o psychologiczne uzasadnienie zmiennych losów bohatera. Podobnie jak w swej pierwszej powieści („Korzenie obok rzeki"), Łoboda w „Podwójnym rozdziale" nawiązuje do wydarzeń wojennych, umieszczając akcję w ramach chronologii pierwszych lat po wyzwoleniu. Należy dodać, że poza dość obszerną partią retrospektywną sprawy opowiedziane w „Podwójnym rozdziale" toczą się w Łodzi, co w powieści jest mocno i wyraźnie zaznaczone.

Nie szukając dziury w całym, muszę tu jednak z obowiązku wspomnieć i o tym, co w nowej powieści nie budzi mojej aprobaty, tym bardziej zaś entuzjazmu. Moim zdaniem bohaterowie „Podwójnego rozdziału", a przynajmniej ich większość, żywią nadmierną skłonność do tzw. filozofowania, przy czym sytuacje, w których dają tej skłonności wyraz, nie zawsze zdają się sprzyjać nie bardzo zwięzłym, a często raczej abstrakcyjnym rozważaniom i dyskusjom o życiu i śmierci, o miłości, o poszukiwaniu „absolutu", o nieskończoności wszechświata — itd., itp. Wolę, stanowczo wolę, gdy Łoboda stąpa po realnym gruncie, obracając się wśród konkretów i bardzo cenię jego racjonalistyczne — w istocie rzeczy widzenie świata. Życie człowieka — nawet bardzo przeciętnego — nie pozbawione jest zawiłości, z których ten człowiek nie zawsze

Roman Łoboda w karykaturze Ibis - Grańkowskiego

umie zdać sobie sprawę. Czy jest celowe komplikować to wszystko jeszcze bardziej szukając „ostatecznych rozwiązań" dla spraw i zjawisk, które z natury swej nie są jednoznaczne i nie dają się wcisnąć w jakieś sztywne i oschłe definicje?...

W moich oczach Łoboda jako prozaik jest i chyba pozostanie tęgim realistą. Wystarczy wskazać — w charakterze dowodu — takie choćby epizody w „Podwójnym rozdziale" jak wizyta Klemensa u wdowy po rzeźniku w poszukiwaniu pokoju, albo męki głodowe bohatera w eleganckiej kawiarni, gdy znalazł się tam po trzech dniach „ścisłego postu" i... bez pieniędzy. Zresztą takich przykładów jest w powieści niemało.

W krótkim słowie odautorskim wydrukowanym skromnie na „skrzydełku" obwoluty „Podwójnego rozdziału", Łoboda pisze m. in.: „Ująć właściwe treści odpowiednią formą, aby wyrazić skomplikowaną współczesność; poddać próbie słowa chociaż małą cząstkę zwyczajnej, ludzkiej prawdy, wyjść poza własną skórę, poza własne kudły, poza ciążenie. Chciałbym." Jest to mądry i ambitny program artystyczny. A ponieważ, jak sądzę, w danym razie „chcieć to znaczy móc", więc prozatorską przyszłość Romana Łobody widzę w świetle uzasadnionego optymizmu.

* (Łódź), Wydawnictwo Łódzkie, 1965 str. 204.

Książki nadesłane

Zofia Szleyen — MISTRAL W DOLINIE, Iskry, cena zł 16 —

Aleksander Ziemny — MISJONARZE W JESIONKACH, Iskry, cena zł 11. —

Erie Collier — NAD RZEKĄ BOBRÓW, Iskry, cena zł 22. —

Romuald Pitera — WINNICA JOANNY, LSW, cena zł 17. —

Ryszard Kłyś — ANIOŁY PŁAKAĆ BĘDĄ, WL, cena zł 32. —

Mirosław Dryński — SPADKOBIERCA, LSW, cena zł 12. —

Roman Łoboda — PODWÓJNY ROZDZIAŁ, W. Łódzkie, cena zł 13. —

Stanisław Piętak — MŁODOŚĆ JASIA KUNEFAŁA, LSW, cena zł 46. —

Roman J. Pyrczak — DNI ZALEDWIE NAZYWANE, WL, cena zł 10.—

Janusz T. Dybowski — HOŁD PRUSKI, LSW cena zł 38.—

Włodzimierz Trapczyński — PSIE POLE, LSW, cena zł 17.—

Franciszek Klein — NOTATNIK KRAKOWSKI, WL, cena zł 25.—

Antoni Olcha — ŻYWE OGNIWA, LSW, cena zł 15.—

Jerzy Narbutt — DEBIUT I INNE OPOWIADANIA, Czytelnik, cena zł 10.—

Roman Jasiński — WRZESIEŃ POD ALPAMI, LSW, cena zł 16.—

Eugeniusz Żytomirski — CHŁOPIEC I MASKI, LSW, cena zł 10.—

Bolesław Leśmian — POEZJE, PIW, cena zł 45.—

RYSZARD MAŁECKI

ŻYCIE DŁUGIE I PIĘKNE

W pierwszych dniach czerwca br. zmarł w Łodzi w wieku 89 lat, i pochowany został na łódzkim cmentarzu, prof. dr Wincenty Tomaszewicz. Ponad przeciętną ludzką miarę długie było życie Profesora i ponad tę miarę barwne, bogate i pracowite. Połowę tego życia spędził w naszym mieście i całkowicie mu je poświęcił, jako lekarz — społecznik, naukowiec, wychowawca wielu pokoleń lekarzy i działacz polityczny.

W ostatnich latach pracował Profesor nad własną autobiografią. Ukazała się na krótko przed jego śmiercią, w lutym br., pod skromnym tytułem „ZE WSPOMNIEŃ LEKARZA". Jest ona jednak czymś znacznie więcej niż zwykłym pamiętnikiem.

Wspomnienia autora sięgają do odległego okresu dzieciństwa, do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Wincenty Tomaszewicz urodził się w guberni tambowskiej (środkowa Rosja), był synem zesłańca, uczestnika powstania 1863 r., a wnukiem powstańca 1830 r.

Powołanie do zawodu lekarza odczuł bardzo wcześnie, bo — jak stwierdza na początku swej książki, już... w piątym roku życia. Cała też książka jest ilustracją jego trudnej drogi do tego zawodu i późniejszych, wybitnych osiągnięć w dziedzinie nauk medycznych, a zwłaszcza chirurgii.

Droga ta nakreślona została na niezwykle bogatym tle społeczno-obyczajowym i politycznym. Na kartach książki ożywa zgiełk wydarzeń, które dziś są już historią, a które zmieniały w ostatnim półwieczu oblicze świata, zwłaszcza Rosji i Polski.

Prof. W. Tomaszewicz był tych wszystkich wydarzeń nie tylko świadkiem, ale i uczestnikiem, poczynając od postępowych ruchów inteligencji rosyjskiej końca XIX wieku, poprzez rewolucję 1905 r., I wojnę światową, Wielką Rewolucję Socjalistyczną, aż po II wojnę światową, na której kończy swe wspomnienia. Stąd też głęboki realizm, a właściwie autentyzm relacji i opisów, stąd także trafność ocen i poglądów.

„Wspomnienia" zapełnione są barwnym tłumem postaci z różnych środowisk, krajów i czasów. Są wśród nich studenci, profesorowie, robotnicy, chłopi, mieszczanie, ziemianie, książęta, politycy, są Rosjanie, Polacy, Żydzi, Niemcy, i ludzie wielu innych narodowości. Choć wszystkie są autentyczne, niejedna z tych postaci stwarza wrażenie jakby żywcem wyjętej z dzieł Gogola, Czechowa, Gorkiego, czy Szołochowa. Sprawia to niezwykła pamięć autora, spisującego przecież swe wspomnienia po kilku dziesiątkach lat, a także jego talent narratorski, niezrównany humor i serdeczny stosunek do człowieka.

Ten właśnie głęboko humanistyczny stosunek do człowieka, wyrozumiałość dla ludzkich słabości i współczucie dla ludzkiej niedoli i cierpienia, współczucie zwłaszcza dla człowieka pracy, upośledzonego przez stosunki społeczne, był niewątpliwie — obok zdolności i pracowitości — źródłem wszystkich osiągnięć Profesora w jego działalności zawodowej, naukowej i polityczno-społecznej.

Pracę zawodową rozpoczyna jako lekarz wiejski na zapadłej prowincji rosyjskiej. Po latach trudów: nauki dochodzi do katedry profesorskiej na Uniwersytecie w Jekaterynosławiu (Dniepropietrowsk), będąc jednym ze współzałożycieli tej uczelni.

W roku 1922 prof. Tomaszewicz przyjeżdża do Polski, kraju swych rodziców, kraju, którego nie znał. Opis tego powrotu do złudzenia przypomina przeżycia Cezarego Baryki. Tak, jak bohater „Przedwiośnia", marzył Profesor o „szklanych domach" w swej nieznanej ojczyźnie i tak, jak Baryka, nie znalazł ich w ówczesnej Polsce. Niełatwo mu było nawet znaleźć pracę.

Po krótkim pobycie w Grudziądzu, prof. Tomaszewicz przybywa w roku 1925 do Łodzi. Okres łódzki zaczyna się na 374 stronicy „Wspomnień" i zapełnia je aż do zakończenia. Pojawia się obraz Łodzi tamtych lat. Okres międzywojenny wypełnia działalność, a właściwie walka Prof. Tomaszewicza, najpierw o samo istnienie, a później o rozwój uspołecznionego lecznictwa (Kas Chorych), o budowę szpitali i przychodni, walka uwieńczona niejednym sukcesem. Nie udało mu się tylko urzeczywistnić jednego marzenia — wyższej uczelni w Łodzi. Dopiero w Polsce Ludowej mógł uczestniczyć w jej utworzeniu.

Wieloletnia walka o zdrowie robotnika łódzkiego, prowadzona początkowo w ramach pracy zawodowej wciąga stopniowo prof. Tomaszewicza w nurt działalności społecznej i politycznej. W latach 1937—39 jest, wraz z płk. dr St. Więckowskim, współorganizatorem Klubu Demokratycznego, a następnie Stronnictwa Demokratycznego. Jest wiceprezesem łódzkiej organizacji SD, a także radnym miejskim.

Końcowy odcinek „Wspomnień" to okres okupacji. Gehenna Radogoszcza, później wyjazd do Warszawy, praca w konspiracji i w powstaniu.

Książka kończy się na dniu powrotu do wyzwolonej Łodzi, miasta, które stało Mu się najbliższe ze wszystkich. Kto tylko znał Profesora i jego działalność w okresie ostatnich dwudziestu lat jego życia, odczuwa wielki brak tego okresu we „Wspomnieniach". Ale to już zadanie dla jego przyjaciół i biografów.

* Wincenty Tomaszewicz, Ze wspomnień lekarza, PIW, 1965, str. 532.

„Macierzyństwo" „Lena" Kowalewicz - Wagnerowa

PÓŁKA z książkami

„SIEDEM ZIELONYCH ZESZYTÓW"

Mamy więc jeszcze jedną pozycję zajmującą się problematyką młodzieży i spraw wychowania. Ujęte w formie pamiętnika wspomnienia dziewczyny z tzw. „porządnego domu", córki ludzi inteligentnych, rysują wyraźnie stosunek dom — dziecko i jego wpływ na postępowanie dziewczyny w szkole i poza domem.

Bywają w życiu sytuacje, których nie da się przewidzieć, pociągające za sobą skutki często przykre, a przeważnie nieprzewidziane. Nawet, zdawałoby się, najtroskliwsza opieka rodziców idąca w parze ze zrozumieniem, lub jak kto woli wyrozumiałością, nieraz nie potrafi im zapobiec. A przecież mogłaby! Gdyby rodzice znaleźli trochę więcej czasu dla dziecka, gdyby nauczyciel nie poprzestawał na sporadycznym zainteresowaniu wypływającym z przeznaczenia i konieczności wypełnienia godzin wychowawczych, gdyby nie owi „koledzy" pod czterdziestkę, imponujący i korzystający z głupoty i niedoświadczenia, gdyby...

A przecież zdawać się może, że wszyscy są w porządku. Rodzice wypełniają swe obowiązki, powiedzieć można wzorowo, nauczyciel daje z siebie maksimum wysiłku, co upoważni go do ferowania surowych wyroków. Dlaczego więc doszło w życiu młodej dziewczyny do katastrofy i kto jest jej winien. Dziewczyna? Rodzice? Szkoła? A może wszyscy razem?

Poszukajmy rozwiązania w książce Jana Kurczaba, nagrodzonej w 1962 roku na Konkursie Czterech Wydawnictw. A może nawet we własnym życiu.

M.N.

Jan Kurczab — „Siedem zielonych zeszytów" — Wyd. Literackie, Kraków 1965 — wyd. II str. 236 — cena zł 12.

REBUS

„Pan Tourel" jest drugą powieścią wybitnego szwajcarskiego powieściopisarza Otto Fryderyka Waltera. Pierwsza powieść „Niemy", która przyniosła młodemu pisarzowi (ur. w 1928 r.) europejski rozgłos, ukazała się w polskim przekładzie w zeszłym roku. „Pan Tourel" jest powieścią, której nie można opowiedzieć ani streścić. Jest to rodzaj rebusu, do którego każdy musi znaleźć własne rozwiązanie, i co więcej, każde rozwiązanie można na swój sposób uzasadnić. Kim jest pan Tourel, względnie, kto jest bohaterem powieści? Czy fotograf, który powrócił do rodzinnego miasta i w wysoko sklepionej piwnicy gadaniem i mamrotaniem gwarą z Jammers odstraszał i opędzał się od kun? Czy może wbrew tytułowi — jak przypuszcza francuski recenzent „Les Lettres Francaises", — bohaterem jest fabryka cementu, która zanieczyszcza miasto pyłem? A kim jest tajemniczy narzeczony La Contessy-Beth? Może właśnie to uwodziciel pan Tourel, jak by wynikało z zakończenia powieści? Wspomniany krytyk francuski widzi w Tourelu, który nie chce się zgodzić na opinię, jaką mają o nim inni, analogię do „Stillera" Maxa Frischa. To porównanie wydaje się jednak zbyt zaszczytne. Pan Tourel jest, łagodnie mówiąc, fantastą, a może nawet mitomanem, skłonnym do zmyśleń i wierzącym we własne zmyślenia (vide scena przy spotkaniu z samochodem handlarza win, na str. 200) i niezdolnym do tego, żeby uznać własną winę, o którą gotów jest się procesować z całym światem. Powieść jest wieloznaczna, a oskarżenia wysuwane przez Tourela pod adresem jego „potwarców" i historia Contessy-Bethy to chyba najciekawsze partie książki. „Pana Tourela" można polecić czytelnikom, którzy lubią trudne wieloznaczne powieści.

W.R.

Otto F. Walter „Pan Tourel". Czytelnik, str. 225.

WSPANIAŁY MIESZCZUCH

Na skrzydełku powieści Johna Braine'a „Wspaniałe życie" znajdujemy informację, że autor wywodzi się z grupy tzw. „gniewnych". „Wspaniałe życie" jest zamaskowaną satyrą i protestem „gniewnego" przeciwko ogłupiającemu i deprawującemu stylowi życia „strasznych mieszczan", jakbyśmy powiedzieli za Tuwimem, w Anglii. Bohater powieści, Joe sprzykrzył sobie ten w majątek bogatego przemysłowca i po dziesięciu latach pożycia małżeńskiego „poczuł się przytłoczony ciężarem wszystkich tych materialnych dóbr, jakie nagromadziły się przez czas małżeństwa, dóbr o wartości około 2700 funtów", nie licząc samochodu własnego i samochodu żony. „Biedny" Joe sprzykrzył sobie ten stan zależności od bogatego teścia i ugrzęźnięcie po uszy w mieszczańskim dobrobycie i „marzył tylko o tej sile, która by mu pozwoliła urzeczywistnić własne ideały". Pragnął zaś niewiele: aby traktowano go poważnie, aby mógł być kimś więcej „niż zięciem szefa". Do czasu urzeczywistnienia się „tych ideałów" Joe zdradza myślą i czynem swą bogatą żonę, która mu się odwzajemnia tym samym. Wreszcie jednak przychodzi moment decyzji i „wyzwolenia" i Joe zrywa z firmą teścia, zrywa z żoną i z dziećmi, i wyjeżdża z „ukochaną" do Londynu. Niestety, sprawdzają się słowa żony: „Wiem, że się z nią nie ożenisz. Nie zrezygnujesz z dobrej posady i... z tego wszystkiego". I rzeczywiście, Joe po eskapadzie i krótkim pobycie w Londynie wraca jak niepyszny do żony „na garnuszek". Oczywiście, powrót jest umotywowany względami psychologicznymi (nagła nie bardzo zrozumiała wielka miłość do syna, na którego Joe nie zwracał dotąd uwagi), ale my wiemy, że to tylko pozór wymyślony przez pisarza. Joe jest postacią antypatyczną, jest „wspaniałym mieszczuchem" podobnie jak się bywa „wspaniałym rogaczem", ale pomimo to powieść czyta się z zainteresowaniem jak dobrze napisany utwór rozrywkowy.

LEKTOR

John Braine. „Wspaniałe życie". PIW str. 312 cena zł. 20.

JERZY WILMAŃSKI

O DWÓCH TAKICH CO SZUKAJĄ MECENASA

Od czasu do czasu w Łodzi podnosi się zgiełk. Znów jakiś twórca „uciekł" do innego miasta, znów staliśmy się ubożsi o reżysera, malarza, literata. Załamujemy wówczas ręce ubolewając, że np. wybitny malarz N. nie mógł w Łodzi „dochrapać" się profesury, a w Krakowie ofiarowano mu ją od razu w Akademii Sztuk Pięknych. Ale pomijając jaskrawe wypadki niedoceniania, rotacja taka jest zjawiskiem zupełnie naturalnym i w końcu nikt nie podpisuje wieczystego kontraktu z miastem.

W tym miejscu chcemy się jednak zająć odwrotną stroną tej rotacji. Odchodzą z Łodzi artyści, ale również przybywają do nas nowi. Niestety, odchodzą sławni i uznani, a przybywają młodzi i niejako w przededniu artystycznej kariery. Ale przybywają. Jak wygląda ich sytuacja, jakie mają konflikty i kłopoty w zetknięciu się z nowym środowiskiem, nowym miastem?

Przedstawmy więc persony dramatu: **Jerzy D. — absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.** Wydział architektury wnętrz. Członek ZPAP. **Andrzej G. — absolwent Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku.** Wydział malarstwa

(pracownia prof. Piotra Potworowskiego).

Obaj młodzi artyści rozpoczynają w Łodzi wędrówkę w poszukiwaniu pracy.

A więc MHD. Owszem, jest praca dekoratorów wystaw. 1.800 zł miesięcznie — nawet nie tak źle. Ale... dekorator musi wykonać miesięcznie... 12 wystaw. Czy to niemożliwe? Możliwe, ale tylko na zasadzie „odwalanki". Studia jednak zobowiązują — nie pozwalają na operowanie paroma stereotypami i jednym szablonem — zarówno Jerzy D. jak i Andrzej G. chcą i mają prawo chcieć — robić wystawy lepsze, ambitniejsze niż absolwenci Liceum Technik Plastycznych, lub zgoła przyuczeni amatorzy. Przyjmując normę 12 wystaw miesięcznie musieliby zrezygnować z ambicji. Zrezygnowali więc z posad dekoratorów, rezygnując tym samym z jedynej realnej pracy, jaką im zaproponowano w czasie parodniowej wędrówki po instytucjach Łodzi.

Bo dalej było coraz gorzej. W pewnym teatrze przyjęto ich serdecznie i sympatycznie. Powiedziano, że owszem, że teatr chciałby widzieć nowe nazwiska na swoich afiszach, ale... podano adres pewnego warszawskiego scenografa. „Niech panowie z nim załatwią, niech on panów zarekomenduje". Nie skorzystali, bo też i metoda teatru dość dziwna.

Poszli dalej. W pewnym biurze projektów przyjęto ich z otwartymi ramionami. Kolorystyka wnętrz przemysłowych ma przed sobą przyszłość — plastycy w biurze są na pewno potrzebni, ale... niestety, na razie nie ma etatów.

Więc poszli do Opery. Nie marzyli już o stanowiskach scenografów, ale liczyli na jakieś zajęcie w pracowniach malarskich, gdzie plastyk z wyższym wykształceniem jest chyba potrzebny. Niestety, nie znaleźli tam pracy.

A może Fabryka Mebli? Poszli. Niestety, w Fabryce Mebli nie przewiduje się na razie etatu dla plastyka. Zakład co prawda zgłosił stypendium fundowane, które pobiera jakiś słuchacz krakowskiej ASP — ale aktualnie sprawa „plastyk" jest dzięki temu na jakiś czas załatwiona. Więc znów odeszli „z kwitkiem".

Cóż było robić. Poszli do Wydziału Kultury. Tam wywołali duże zdziwienie i zaskoczenie. Plastycy szukają pracy? Niebywałe. Dotychczas, jak wiadomo, artyści żyli powietrzem... W Wydziale Kultury otrzymali jednak zbawienną radę. Skierowano ich do SEMAFORA.

Są młodzi, pewno trochę naiwni i nie znają tzw. stosunków. Poszli więc do SEMAFORA. Tam kazano im złożyć oferty i zapewniono, że kiedyś jakiś reżyser zechce skorzystać z ich umiejętności. Kiedy — nie wiadomo. Pewno poczekają dość długo, bo jak powszechnie wiadomo reżyser-debiutant nie będzie ryzykował filmu z plastykiem — debiutantem, a stary wyga ma z reguły swoich „pewniaków".

Proponowano im jeszcze pracę instruktorów K.O. w Domu Kultury w Zgierzu, ale jej nie przyjęli. Nawet nie dlatego, że daleko, tylko po prostu praca ta nie miała nic wspólnego z plastyką. A oni wciąż uparcie chcieli wykorzystać ten zasób wiedzy

i umiejętności, jaki zdobyli w czasie kilkuletnich studiów.

Jerzy D. jest członkiem ZPAP, Andrzej G. jeszcze nie załatwił wszystkich formalności związanych z przyjęciem do Związku Plastyków. Ale obaj są w sytuacji identycznej. W Łodzi żyje około 300 plastyków i jeśli nawet liczyć na zlecenia z Zakładów Artystycznych ZPAP — oczekiwanie trwałoby w najlepszym wypadku dobre parę miesięcy. Prace wykonywane przez Pracownię Sztuk Plastycznych są także tylko dorywcze — zresztą trzeba samemu szukać na mieście zleceń na wykonanie i zatwierdzać potem w PSP. A oni, jak się rzekło, przyjechali do Łodzi — nie mają tzw. „chodów", nie wiedzą kogo „ustrzelić" na zlecenie na prace plastyczne.

Tak więc dwaj młodzi ludzie — absolwenci wyższych uczelni, nie znaleźli dotychczas w blisko 800-tysięcznym mieście pracy odpowiadającej ich wykształceniu i kwalifikacjom. A nie żądali przecież wiele — nie chcieli mieszkań w nowych blokach, ani dyrektorskich posad. Chcieli pracować i zarabiać w swoim zawodzie.

Powie ktoś, że to zawód nietypowy, że np. plastyk-projektant tkanin nie miałby tych kłopotów, że wybierając na studiach określone wydziały powinni się liczyć z ewentualnymi konsekwencjami. Otóż jestem zdania, że nie powinni się liczyć. Wykształciły ich państwowe uczelnie za niemałe państwowe pieniądze i młodzi artyści powinni mieć dziś możność oddania społeczeństwu efektów wieloletnich studiów.

Wiem, że casus Jerzego D. i Andrzeja G. jest w naszej sytuacji dość nietypowy. Jednakże jest to w końcu nie tylko casus, ale zwykła ludzka sprawa, za którą kryje się rozgoryczenie i żal. A po drugie jestem przekonany, że istnieją w Łodzi instytucje, które nie tylko chcą zatrudnić u siebie plastyków, ale i mają odpowiednie etaty. Do nich przede wszystkim adresujemy tę historię o dwóch młodych malarzach, którzy szukają mecenasa.

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM	
WISŁA	„Szkarłatne godło odwagi", 30 seansów	6346 widzów 50%
WŁÓKNIARZ	„Ape Regina", 20 seansów	6206 — 60%
	TEATR	
POWSZECHNY	„80 dni dookoła świata", 2 spektakle	780 — 60%
NOWY	„Wicek i Wacek", 2 spektakle	600 — 45%
	„8 kobiet", 2 spektakle	1000 — 75%
MAŁA SALA	„Drewniana miska", 2 spektakle	350 — 80%
JARACZA	„Lord z walizki", 2 spektakle	950 — 65%
	„Koncert", 2 spektakle	600 — 45%
7:15	„Samobójstwo doskonałe", 5 spektakli	1429 — 65%
OPERA	„Manon", 1 spektakl	600 — 100%
	„Janek", 1 spektakl	580 — 100%
FILHARMONIA	koncert symfoniczny, 2 spektakle	800 — 60%

KRONIKA Antytelewizyjna

Telewizja polska — podobnie jak w ubiegłym roku — urządza Festiwal Teatrów Dramatycznych. Impreza to ze wszech miar pożyteczna i interesująca. Prezentuje nam bowiem dorobek mało znanych teatrów, a dla nich samych stanowi z pewnością duży doping i możność konfrontacji własnych osiągnięć z dorobkiem innych. Toteż z całego serca życzę telewidzom, teatrom i samej TV, żeby owa cyfra II przed przeglądem rosła z roku na rok, żeby ta ciekawa impreza stała się podejmowaną corocznie tradycją.

* * *

Program poniedziałkowy z 5 lipca przyniósł prezentowany właśnie w ramach II Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych monodram Bohdana Kurowskiego pt. „MOJA DROGA DO POLSKI" w reżyserii Krystyny Tyszarskiej. Była to adaptacja sceniczna pamiętnikowych wspomnień mazurskiej młodej dziewczyny — Hejdy Macoch. Problematyka monodramu (utworu scenicznego z jedną tylko postacią) była więc na wskroś mazurska. Spektakl oparty na pamiętnikach tchnął wielkim autentyzmem, wyjątkową szczerością. Ważne historyczne procesy zachodzące po wojnie na mazurskiej ziemi, ukazane w sposób bardzo osobisty, przez pryzmat uczuć, doznań młodej dziewczyny, zarysowały się na małym ekranie z wyjątkową dramatycznością. Przestały być abstrakcją — wygłaszane ustami Hejdy (doskonała rola Haliny Słojewskiej), stały się wstrząsającym historycznym, choć tak bardzo osobistym wspomnieniem. Życie powojenne na Mazurach nie było ani proste, ani łatwe. Hejda mówi o tym wyraźnie. To było przecież jej życie. To były jej problemy. Najważniejszy z nich — problem polskości. Trudny, zawikłany, niejednokrotnie bolesny.

Hitler dobrze płacił za płody rolne, nieźle więc powodziło się rodzinie przed wojną — wspominała matka Hejdy. Ojciec jej musiał iść walczyć na front — nie miał wyboru.

— Spełnił swój patriotyczny obowiązek. Zginął za Niemcy — grzmiała propaganda.

— Zginął za swoich.

Swoich? Kim byli ci mazurscy „swoi" z Ost Preusen?

— Tylko starzy znali mazurski język, cieszyli się zwłaszcza, radowali po mazursku — wspomina matka Hejdy. Starzy śpiewali mazurskie piosenki, schodzili się z młodszymi na wspólne czytanie „Biblii" po polsku, nie bacząc na grożące represje. A w szkołach, gdzie karano za słowa polskie, gdzie tabliczka z napisem „Polak" miała być karą i ujmą, dzieci wbrew zakazom, na złość nauczycielom, mówiły, śpiewały po polsku. Ale ta sama przekora wobec suchych nakazów odgórnych kazała im po wojnie używać ostentacyjnie niemieckiego języka. A i starzy też „zacięli się w sobie" i specjalnie nie mówili po polsku przy obcych. Byli nieufni, zrażeni powojennym bałaganem kontrastującym jaskrawo z porządkiem niemieckiej administracji. Byli nieufni i powściągliwi, a przede wszystkim biedni. Toteż wielu skusiła NRF-owska propaganda, znęciły obietnice dobrobytu. Wielu wyjechało. Ta sama propaganda głosiła w czasie wojny:

— Strzeżcie się bandy komunistycznej. Wycinają w pień zastaną ludność, pastwią się nad kobietami, dziećmi.

Rzeczywistość historyczna zadała kłam tym twierdzeniom. Kiedy jednak bieda zagląda do domu, kiedy własne dziecko prześladowane jest przez rzucane przez inne dzieci słowo „Szwabka", kiedy nauczyciel bije w twarz dziewczynkę za to, że raz nazwana Hejdą nie chce przyjąć nowego imienia Helena, gdy inni — ci, którzy wyjechali — piszą o dobrobycie na nowym miejscu, tak trudno czasem oprzeć się pokusie ułatwienia sobie życia.

— Przybywajcie do Niemiec! — krzyczy propaganda. — Z nędzy i upokorzeń pod komunistyczną okupacją, przybywajcie do Niemiec!

Ale byli i inni nauczyciele. Ci, którzy nie bili po twarzy. Ci, którzy cierpliwie tłumaczyli historię i geografię Mazur, którzy polskie nazwiska pokazywali na nagrobkach starych pruskich cmentarzysk. I były inne listy z NRF-u.

* * *

To był naprawdę piękny, porywający, wzruszający spektakl, dobrze pomyślany, zrealizowany przez eksperymentalną scenę „Margines" olsztyńskiego teatru im. Stefana Jaracza. Nadzwyczaj prosta, uboga sceneria — kilka zaledwie rekwizytów. Cały nacisk położony został na przeżycia Hejdy widoczne w mimice, geście, tonie głosu i słowach znakomicie grającej Haliny Słojewskiej. Wspaniały materiał do telewizyjnych zbliżeń. Prostota, naturalność, szczerość, moc przekonywania — to cechy gry Słojewskiej. W ubiegłym roku telewidzowie uznali inscenizację „Braci" tego właśnie teatru, za najciekawszą pozycję Festiwalu ze względu na jej prawdziwość, autentyczność. Nie wiem, jak będzie w tym roku. Ale te same cechy prawdziwości i autentyczności nosiło frapujące poniedziałkowe widowisko.

KTV

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

30000 statystów brało udział w scenach batalistycznych tego filmu. Dwa lata trwały prace przygotowawcze do realizacji. Film kosztował 6 milionów dolarów i ukończony został w 1955 r., chociaż dopiero teraz wszedł lub wejdzie na nasze ekrany. Jest jednym z supergigantów, mających ratować na Zachodzie, głównie w Ameryce, rynek kinematograficzny zagrożony przez telewizję. Stanowi przebogate widowisko oparte na motywach mitologicznych, nawiązujących do Homera. Mowa oczywiście o „HELENIE TROJAŃSKIEJ" reżyserowanej przez Roberta Wise'a. Dodajmy, że film ten zrealizowany był w całości we Włoszech, że oprócz fantastycznych w rozmachu scen batalistycznych jest w nim i groźna burza morska, i niebywałych rozmiarów pożar, i pałacowa orgia. A wszystko — w kolorach i na szerokim ekranie. Atutem tego filmu jest także obsada aktorska, co zgodnie podkreślała dziesięć lat temu zachodnia prasa. Zjawiskiem niecodziennym jest to, że główne role powierzono w „Helenie trojańskiej" mało znanym aktorom: Rossanie Podeście w roli tytułowej i Jackowi Sernasowi w roli Parysa, podczas gdy supergiganty angażują zazwyczaj gwiazdy i gwiazdorów o sławnych bardzo nazwiskach. Nazwisk tych nie brak co prawda i tutaj, ale odnoszą się one do postaci drugoplanowych: Cerdic Hardwick, Janette Scott, Harry Andrews i Stanley Baker stworzyli znakomite postaci Priama, Kassandry, Hektora i Achillesa. I ciekawostka — w filmie tym występuje w drugoplanowej roli Andraste Brigitte Bardot, ale jeszcze nie ta sławna, rozgłos jej zaczął się nieco później.

Motywy mitologiczne, które stanowią punkt wyjścia „Heleny trojańskiej" potraktowane zostały bardzo dowolnie i są w gruncie rzeczy tylko pretekstem. Na pierwszy plan wysuwa się zdecydowanie w filmie historia miłości Heleny i Parysa, reszta stanowi tło, ale przynajmniej bogate i stanowczo odbiegające od tego, co w ubiegłym roku pokazała nam bardzo słaba, bez smaku zrealizowana wersja włoska homerycklego mitu. „Helena trojańska" — wersja amerykańska jest widowiskiem dobrej klasy. Zasługa to i ambitnego reżysera — późniejszego twórcy głośnego filmu „West Side Story", i aktorów, i całkiem niezłych dialogów. Filmu, obliczonego jako wielkie widowisko na jak najbardziej masowego odbiorcę, nie można — rzecz jasna — mierzyć kryteriami przykładanymi do ambitnych lecz bardziej elitarnych filmów trudniejszych, apelujących głównie do intelektu widza. „Helena trojańska" to film rozrywkowy, wystawny i łatwy. Zrealizowany starannie, z kulturą, stanowi wśród supergigantów godną i interesującą pozycję.

„THE BEATLES" to film, który już nie jest u nas najświeższą pozycją. Początkowo nie zamierzałam o nim pisać. Odstraszały mnie straszliwe kolejki — nastolatków przed kinami, w których wyświetlano tę komedię muzyczną. W końcu jednak zdecydowałam się. Przecież film ten na liście najbardziej kasowych pozycji 1964 roku zajął drugie miejsce. Zyskał niesłychaną popularność w USA i na zachodzie Europy. Jest niewątpliwie fenomenem typu socjologicznego. Ciekawa byłam, jak na ten szał beatlesowy na ekranie reaguje nasza młodociana publiczność. I muszę przyznać — wyszłam z kina usatysfakcjonowana: reaguje spokojnie i rozsądnie. A film warto obejrzeć. Richard Lester dokonał tu specyficznego zabiegu: połączył pasję dokumentarzysty ze spojrzeniem humorysty, z wdziękiem komediowym. Wreszcie — atrakcja samego tematu: Beatlesi, rekordy popularności. Kim są? Pisał „Sztandar Młodych": „Młodymi Anglikami, pracującymi w fabrykach, przedsiębiorstwach, w handlu... Młodymi ludźmi, którzy nie bardzo wiedzą, co robić z wolnym czasem (...) Chłopcy z Liverpoolu byli właśnie jednymi z nich. To jest chyba główne źródło ich popularności wśród angielskiej młodzieży. Są muzykalni, dość wrzaskliwi, donośni, śpiewają z entuzjazmem, mają doskonałą technikę wykonawstwa. Poza tym imponowali (imponują do dziś) fryzurą, strojem — rzucając tym wyzwanie światu dorosłych i jego porządkom". Dla znacznej części tego świata dorosłych styl życia, styl występów Beatlesów jest nie do przyjęcia. Ale nie dla wszystkich. „Czy wiecie, kto w Anglii pisze o Beatlesach najpoważniej, przeciwstawia się zacietrzewieniom w ich ocenie?" — pyta „Życie Warszawy" i odpowiada: „Właśnie prasa najpoważniejsza. Znani krytycy upatrują źródło ich sukcesów w ich naturalności, w braku pozy, w braku pretensji do odzwierciedlenia „prototypu współczesnego człowieka", w rodzinnej, na pozór trochę szorstkiej zażyłości ich wzajemnych stosunków, a wreszcie w pewnym ludowym, demokratycznym podtekście ich piosenek, ich filmu, ich wystąpień". Film poddaje się stylowi Beatlesów. Jest prosty, bezpretensjonalny i trochę jak on młodzieńczo „zwariowany". Pełen fantazji w ukazywaniu ich świata. Takie dziwne, zainscenizowane cinema-verite. Humor tego filmu przypomina trochę braci Marx, co zresztą podkreśla prasa zachodnia, dając mu dość wysoką ocenę: „To niezwykły reportaż, studium, które jest inscenizowane, najpełniejszy wyraz psychicznej mody, która zelektryzowała tysiące — celuloidowy światek, który za lat kilka przemówi głosem dokumentu epoki (...) Swobodna struktura pozwala ukazać aktorów tego niezwykłego widowiska i jego publiczność zarazem (...) oscylować między hordami wielbicielek i grupą czterech idoli, i narzucić widzowi wdzięk młodzieńczej improwizacji".

MARIAREL

Helen Keller.

● **HELEN KELLER** ukończyła 85 rok życia. Kim jest ta kobieta? Dlaczego o niej piszemy? Helen Keller urodziła się 27 czerwca 1880 roku w Tuscumbia w stanie Alabama. Gdy miała niespełna dwa lata, zachorowała na zapalenie opon mózgowych, w wyniku czego oślepła, ogłuchła i straciła mowę. Zamożni rodzice, zrozpaczeni tak wielkim nieszczęściem (Helen była ich jedyną córką), jeździli z nią do wybitnych lekarzy — specjalistów, ale wszelkie zabiegi okazały się bezskuteczne. Młoda dziewczynka wzrastała w całkowitej ciemności, nie widząc, nie słysząc i nie mówiąc.

Przypadek zdarzył, że zjawiła się w domu rodziny Keller Anna Sullivan, która poświęciła się bez reszty młodemu nieszczęśliwemu dziecku. Dzięki nadludzkim zdolnościom i wysiłkom Anny Sullivan udało się wydźwignąć Helen Keller ze stanu całkowitej ciemności i nauczyć ją mówić. Helen Keller była pierwszą głuchonieną kobietą w Stanach Zjednoczonych, która ukończyła studia wyższe i została pisarką. W roku 1902 wydała „The Story of My Life", która ukazała się również po polsku jako „Historia mojego życia". Nie jest to jedyna książka Helen Keller. Wydała ich kilka, nadto jeździła z wykładami do ociemniałych. Była rzeczniczką reform społecznych i równouprawnienia kobiet.

Niedawno oglądaliśmy na ekranach film pt. „Cudotwórczyni" z życia Helen Keller i jej nauczycielki, Anny Sullivan.

Obecnie zażywa zasłużonej sławy, stanowiąc jednocześnie przykład nieograniczonych możliwości rozwoju człowieka. Zdjęcie, które reprodukujemy, przedstawia Helen Keller z jej okresu studenckiego.

● **„IRWIN ALLEN GINSBERG,** amerykański poeta urodzony 3 czerwca 1926 roku w Stanie New Jersey w USA, został wezwany do wydziału paszportowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Pradze, gdzie zakomunikowano mu, iż dalszy jego pobyt w CSRS jest niepożądany i że winien natychmiast opuścić ten kraj. Allen Ginsberg przyjął powyższe do wiadomości bez protestu i 7 maja 1965 r. o godzinie 17.30 odleciał z lotniska Ruzyne do Londynu".

Tyle oficjalny komunikat. Dalsze wyjaśnienia dodają, iż Ginsberg został 5 maja w nocy zatrzymany przez praską milicję pod zarzutem czynów obrażających moralność i zakłócenia spokoju.

Dziś przedstawiamy za jednym z zachodnich pism portret Ginsberga, który może najcelniej charakteryzuje tego anarchizującego poetę nurtu beatnikowskiego.

Impresario: I to wszystko, co przywozisz?
Beatles: ... nie licząc paru milionów dolarów.

● **GEORGE HARRISON,** lat 23, John Winston Lennon, lat 25, James Paul McCartney, lat 22 i Richard Starkey, lat 24 — zwani popularnie „Beatlesami" — mogą obecnie obok swych nazwisk stawiać litery M.B.E.

M.B.E. to skrót pełnej nazwy — Member of the Orden of the British Empire — ufundowanego przez Jerzego V w roku 1917 srebrnego krzyża nadawanego poddanym brytyjskim za wybitne zasługi.

Oczywiście przyznanie tak wysokiego odznaczenia hałaśliwym i niepoważnym „Chrabąszczom" wywołało zrozumiałe poruszenie konserwatywnej angielskiej opinii publicznej. Nie obyło się bez protestów i gorzkich uwag na temat upadku pięknych tradycji dworu. Ale następnie — już w trakcie prasowej dyskusji — raz jeszcze przypomniano, iż:

— Beatlesi przynoszą Anglii większe dochody w dewizach, tak cennych wobec deficytu w handlu zagranicznym niż jakiekolwiek przedsiębiorstwo przemysłowe.

— Dzięki Beatlesom uruchomiono nowe dziedziny produkcji tak dla rynku wewnętrznego, jak i dla eksportu (peruki, portrety, drobiazgi galanteryjne, typowe pulowery itp.). Obrót tego nowo powstałego przemysłu ocenia się na 200 milionów dolarów.

— Produkcja płyt z nagraniami Beatlesów przyniosła angielskiej kasie w jednym tylko roku 1964 25 milionów dolarów.

— Pierwszy film Beatlesów, to 12 milionów dolarów jakie wpłynęły do samych tylko amerykańskich kas kinowych.

— Amerykańskie tournee Beatlesów z lutego 1964 r. przyniosło 1,5 miliona dolarów. Drugie — we wrześniu 1964 r. aż 4,5 miliona dolarów.

— Założone przez Beatlesów Towarzystwo Akcyjne Northern Songs rozprzedało w ciągu jednej godziny 1.250.000 akcji po wysokim nominalnym kursie 7 szylingów za akcję.

Nie ma więc wątpliwości, że Beatlesi to poważna i zasłużona dla kraju firma. Cóż więc dziwnego, że wyróżniono ich tak wysokim odznaczeniem?

A co o tym myślą Beatlesi? John Lennon tak to wyraził: „Myślałem, że krzyże dostaje się tylko za wojnę, że muszą grzmieć armaty i toczyć się czołgi. A tymczasem wystarczą gitary..."

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

● **NOWYM** prezesem międzynarodowego zrzeszenia pisarzy — znanego pod nazwą PEN *) — Clubu został Arthur Miller. Była to kandydatura — jak się wydawało — powszechnie uznawana, ale w ostatniej niemal chwili francuski PEN — Club w piśmie adresowanym do 76 krajowych central PEN — Clubu wysunął swego kandydata: był nim 65-letni gwatemalski pisarz Miquel Angel Asturias (powieść: „Pan prezydent"). Wynikły oczywiście długotrwałe spory. Francuzi twierdzili, że Miller jest zbyt zaprzątnięty swymi pracami, by się poświęcić działalności w PEN — Clubie, a także wysuwali argument, iż Miller nie mówi po francusku. Zwyciężył wreszcie Miller, ale prasa amerykańska, kwitując kontrakcję francuską gorzko zauważyła: „I tak oto antyamerykańska strategia de Gaulle'a zaczyna działać i na polu literatury".

*) PEN — to skrót następujących angielskich słów:
P — Poets and Playwrights
E — Editors and Essayists
N — Novelists.

● **NIECHLUBNA** działalność fałszerzy, podrabiających płótna starych mistrzów, przynosi ogromne zyski i bywa często również i preludium do sławy. Tak przynajmniej działo się z Hansem van Meegerem, którego quasi — autentyczne „Vermeery" nie tylko zawisły w najsłynniejszych muzeach Europy, ale znalazły się nawet, mimo czujności ekspertów, i w zbiorach arcyszabrownika Göringa.

Ostatnio jednak rynek europejski ma już dość takich świeżo malowanych Tycjanów, Rubensów i Davidów. A biegli w tym rzemiośle — czując zbliżający się kryzys — zmieniają swe kwalifikacje. Włoska policja wykryła niedawno gang fałszerzy, których pasjonowała sztuka współczesna. Płótna fałszywych Chirico, Guttuso i de Pisis produkowane były już nie na tuziny i setki — a na tysiące. Wśród aresztowanych przestępców znalazło się trzech bardzo zdolnych malarzy, trzech marszandów, specjalista od podrabiania ram — no, i oczywiście, ekspert (i to o dużym naukowym autorytecie). 75-letni profesor Cesare Bellini. Pan profesor jako rzeczoznawca pomagał w sprzedaży fałszywych dzieł sztuki, które wędrowały najczęściej do Ameryki przynosząc szalące dziesiątki i setki tysięcy dolarów zysku.

Autentyczny Guttuso...

Jeden z malarzy-oszustów, 43-letni Tullio Bartolli pochwalił się kiedyś w gronie przyjaciół, iż potrafi każdego „nowoczesnego" podrobić w dwadzieścia minut. Mimo tych przechwałek działalność gangu otoczona była jednak ścisłą tajemnicą, a fałszerstw dokonywano z takim mistrzostwem, iż w trakcie śledztwa zarówno eksperci policji jak i historycy sztuki mieli wiele kłopotów z rozróżnieniem autentyków i falsyfikatów.

„Wielka wsypa" zaczęła się — jak to zwykle bywa — od drobiazgu; do pewnej prywatnej galerii florentyńskiej trafiło w tym samym czasie z paru źródeł wiele prac Guttusa. Właściciel galerii, może tknięty złym przeczuciem, zwrócił się do słynnego malarza z propozycją ustalenia kolejności, w jakiej jego prace mają być wystawione na sprzedaż. I wtedy ku swemu zdumieniu usłyszał dosłownie:

— To nie moja robota: ani mi się śniło coś takiego malować!

Zaalarmowana policja natychmiast rozpoczęła śledztwo: w jego rezultacie gang znalazł się za kratkami. Ale milion dolarów, jaki zarobili fałszerze — oczywiście — nie wpadł w ręce policji. Co więcej, nigdy chyba nie wyjdzie na jaw pełny obraz działalności fałszerzy, bowiem kolekcjonerzy a przede wszystkim marszandzi zrobią wszystko, by zatrzeć kompromitujące i grożące klęską finansową ślady tej afery.

...i wykryty falsyfikat

Giorgio de Chirico, który uchodzi za najczęściej podrabianego współczesnego malarza Włoch oświadczył w wywiadzie prasowym, że ci, którzy kupili falsyfikaty, nie warci są współczucia. „Chcieli mieć moje płótna za śmiesznie niską cenę, więc zasłużyli na swój los..."

Z SATYRY CZESKIEJ

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Udaliśmy się do pracowni rzeźbiarza, Tadeusza Piotrowicza. Trudno to nazwać pracownią. Mały, źle oświetlony pokój przy ul. Piotrkowskiej 26 w podwórzu. Ale rychło zapomnieliśmy o tym pomieszczeniu, gdyż całą naszą uwagę pochłonęła stojąca tam rzeźba Ludwika Waryńskiego. Słyszeliśmy, że robiono starania, by tę doprawdy wspaniałą rzeźbę dłuta Tadeusza Piotrowicza postawić na którymś z placów w naszym mieście. Na razie bez powodzenia. Dziwne. Waryński, wykonany przez Piotrowicza, jest postacią dynamiczną, sugestywną: chciałoby się powiedzieć, oto rewolucjonista nieugięty, a przy tym ludzki. Do kogo pójść, do kogo przemówić, by rzeźbę tę ofiarować miastu i jego mieszkańcom? Łódź, która przecież nie jest zasobna w pomniki, bardzo by się rzeźbą Waryńskiego wzbogaciła.

WTOREK

Na najbardziej ruchliwym odcinku ulicy Piotrkowskiej znajdują się dwa sklepy z przyborami sportowymi: jeden na rogu Roosevelta i drugi pod nr 71. Pierwszy z nich znajduje się w remoncie, na tym drugim wisi karteczka z napisem remanent. Rozumiemy: remont, trudno, siła wyższa. Ale remanent, teraz, kiedy właśnie wszyscy: młodzież i dorośli wybierają się na urlopy i wakacje. Kto wpadł na ten szatański pomysł? Dla kogo jest ten sklep: dla ludzi, czy dla pracowników? Przecież remanent można było zrobić w dwa tygodnie później, gdy ludzie kupią sobie co trzeba i pojadą. Tymczasem codziennie klienci zbierają się pod sklepem, zaglądają do wnętrza, sprawdzają, czy wywieszka z napisem „remanent" jeszcze wisi. A wywieszka wisi, a jakże. Czy może nam ktoś odpowiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

ŚRODA

Znany z wystaw „Kiermasz Plastyków" prezentował ostatnio wystawę gobelinów Tamary Hans. Trochę spóźniliśmy się z odwiedzinami, ale przecież lepiej późno, niż później. Istotnie: gobeliny piękne. Podziwialiśmy je i nie mogliśmy się napatrzeć. Ech, zawiesić by taki gobelin w mieszkaniu! Oskoma bierze. Na razie jednak możemy je oglądać tylko na wystawie. Dodajmy: na dobrze urządzonej wystawie. Pani Tamara Hans zdała egzamin na piątkę.

CZWARTEK

A więc nowy Klub Międzynarodowej Prasy i Książki przy ul. Narutowicza otwarty. Otwarcie było uroczyste i udane, co nie zawsze idzie ze sobą w parze. Dyr. Klubu Eugeniusz Popławski przedstawił w swoim krótkim przemówieniu dzieje Klubu, następnie kier. Wydziału Kultury PRN m. Łodzi — Ryszard Stefańczyk dokonał przecięcia wstęgi i powiedział kilka ciepłych słów o tej niezwykle potrzebnej instytucji. Potem były mowy seniorów-bywalców i wykładowców, było zwiedzanie sal i urządzeń. W części artystycznej (znakomitej) wystąpili: Barbara Hesse-Bukowska i aktor Teatru Narodowego w Warszawie — Gogolewski. Co tu gadać: nowy klub godny jest tej nazwy i godny wielkiej Łodzi. W porównaniu do tego, co było, obecne pomieszczenia to prawdziwe arcydzieło. Przestronne, nowoczesne, funkcjonalne. I przyjemnie posiedzieć w kawiarni, przyjemnie poczytać prasę, przyjemnie pójść do działu czasopism, przyjemnie pójść do działu książek, słowem: same przyjemności. A i personel — na medal, co stwierdzamy z przyjemnością!

PIĄTEK

Staraniem Klubu Miłośników Książki i Księgarni „Pegaz" odbyło się w tymże „Pegazie" spotkanie z p. Cecylią Duninową, która opowiedziała o księgarstwie, czytelnictwie, antykwariatach i literaturze dzisiejszej Holandii. Cecylia Duninowa przebywała dwa miesiące w Holandii jako stypendystka i sądząc z tego, co powiedziała, pobyt jej się bardzo udał. Zebrała mnóstwo ciekawych wiadomości, ładnie je usystematyzowała, a następnie przekazała słuchaczom, których — mimo istniejącej już właściwie kanikuły — zebrało się sporo. Rolę gospodarza spełniał kier. księgarni p. Gierańczyk, a rolę aranżera wieczoru — wicedyr. Biblioteki Uniwersyteckiej Michał Kuna.

SOBOTA

Wydawnictwo Łódzkie opublikowało pokaźnych rozmiarów tom wierszy Mariana Piechala pt. „Miara ostateczna". Tom ten omówimy osobno, ale już teraz chcieliśmy zwrócić uwagę zarówno na jego zawartość treściową (piękne dojrzałe wiersze poety), jak i na oprawę graficzną oraz piękne wkładki barwne w tekście Romana Prokulewicza. „Miara ostateczna" jest chyba najlepiej wydaną pozycją Wydawnictwa Łódzkiego. Tom oprócz wierszy oryginalnych Mariana Piechala, zawiera również jego przekłady z poezji rosyjskiej, francuskiej i innych języków.

NIEDZIELA

Siedzimy w domu, czytamy, odpisujemy na listy, myślimy, gdzie by tu pojechać na wczasy. A poza tym przygotowujemy się do przyszłego tygodnia. Bo już jutro, w poniedziałek, zacznie się na nowo. Wszystko: wystawy, odczyty, spotkania itp. A więc — do zobaczenia.

J. K.

HORACY SAFRIN

O NOWYM KLUBIE MPiK

Improwizować?... Ja wierszy nie składam
w lot jak Sztaudynger lub natchniony
Adam.
Mogę zapewnić tylko: doskonale
czuję się tu, w nowym Klubie.
Nawet Mickiewicz, wszedłszy na tę salę,
„To lubię — rzekłby — to lubię!"

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Ciekaw byłem jak będzie wyglądał świat za lat trzysta. Postanowiłem „odejść z życia" i wrócić dopiero w 2260 roku. Ponieważ moje gusty i poglądy są dostatecznie nowoczesne, dlatego też nie miałem powodu by obawiać się, że będę czuł się źle w tym świecie, w którym będę musiał żyć, kiedy obudzę się po wielu latach.

LEO SCILARD

Po wielu latach

Ostatni wieczór w wieku dwudziestym spędziłem przy kolacji z moimi przyjaciółmi. Było nas sześciu. Znaliśmy się od dawna, ale tym razem nie rozumieliśmy się. Wydawało mi się, że większość z nich czuje się tak, jakby byli na moim pogrzebie, a ja to samo myślałem o nich, bo przecież mimo wszystko kiedyś się obudzę, a ich już nigdy nie będzie.

...Po dwóch godzinach zapadłem w sen, a po godzinie nic już nie słyszałem. Poczułem ukłucie igłą i kiedy otworzyłem oczy zobaczyłem pielęgniarkę pochyloną nade mną. W jednej ręce trzymała strzykawkę, a w drugiej mikrofon.

— Czy nie zechciałby pan powiedzieć kilka słów? — spytała.

— Nim odpowiem na wasze pytania proszę mi powiedzieć jak długo spałem?

— Dziewięćdziesiąt lat — powiedział stojący obok elegancko ubrany mężczyzna.

Następnie głos zabrał mer.

— Nie ma pan pojęcia ile kłopotów sprawił pan swoim odejściem z życia. W ciągu kilku lat za pańskim przykładem poszli niektórzy działacze polityczni i antropologowie. A potem po prostu wybuchła epidemia. Ludzie kazali się usypiać zupełnie bez powodu. Z przykrością muszę stwierdzić, że wielu katolików nie mając możliwości otrzymania rozwodu wybrało ten sposób, aby przeżyć męża lub żonę i potem powtórnie wstąpić w związek małżeński.

W końcu stulecia zapadło w sen wielu bogaczy, cierpiących na nieuleczalne choroby, w nadziei, że kiedyś będą wynalezione odpowiednie środki do walki z tymi schorzeniami. Jednakże często sprzeciwiali się temu spadkobiercy bogatych chorych. I spadkobiercy również zaczęli odchodzić z życia. W chwili obecnej w stanie snu znajduje się milion chorych i pół miliona ich spadkobierców.

Potem wybuchł kryzys ekonomiczny i wtedy uśpiono dwadzieścia pięć milionów bezrobotnych.

— Kiedy ich przywrócą do życia? — spytałem.

— Stopniowo — mówił dalej mer. — Większość śpiących nie należy do kościoła katolickiego, a nagłe ich przywrócenie do życia naruszyłoby równowagę polityczną kraju.

Okazało się, że naruszył pan przepis o odejściu z życia z 2048 roku, który zezwala na to jedynie w wyjątkowych wypadkach. Będzie pan musiał stanąć przed sądem i poprosić o pozwolenie na dalszy sen. Przypuszczam, że otrzyma pan takie pozwolenie. Jeżeli czuje się pan dobrze chciałbym zaprosić pana do mnie na obiad. Spodziewam się gości. Oprócz nich będzie moja żona i córka Betty. Biedne dziecko, czuje się trochę nieszczęśliwa. Niedawno zerwała zaręczyny, a ja robię wszystko by ją podtrzymać na duchu. Ona bardzo kocha tego chłopaka...

— Jeżeli go kocha to dlaczego z nim zerwała? — zdziwiłem się.

— Znajomi śmiali się z niej ponieważ jej narzeczony ma zęby — wyjaśnił mer. — Naturalnie, prawo tego nie zabrania, ale u nas już nikt zębów nie nosi.

I dopiero teraz zauważyłem, że zarówno siostra jak i mer nie mieli zębów. Nie miał ich też ów młody elegancki mężczyzna. Zrozumiałem, że zęby przestały być modne!

— Przecież ja też mam zęby — powiedziałem.

— Oczywiście — uśmiechnął się mer. — Jeśli pan będzie chciał się z nimi rozstać możemy panu to ułatwić. To niehigieniczne!

— W jaki sposób będę jadł?

— Mamy specjalne szczęki przykręcane do stołu, które przeżuwają pokarm. Posługujemy się łyżkami wkładając jedzenie do ust.

— Nawet befsztyk?

— Wszystko. Ale niech się pan nie martwi. Dzisiaj otrzyma pan nóż i widelec. Moja córka trzymała to specjalnie dla narzeczonego.

* * *

— Proszę mi powiedzieć dlaczego ludzie zaczęli sobie wyrywać zęby — spytałem, kiedy siedzieliśmy przy stole.

— Było to trzydzieści lat temu — powiedział mer. — Żujące szczęki produkowane przez Forda dłuższy czas reklamowano w telewizji. Zaczęto kupować je i wtedy okazało się, że zęby są zupełnie niepotrzebne. Jeżeli pomyśleć, ile czasu kiedyś tracono u dentystów okaże się, że teraz w tej dziedzinie mamy bardzo poważne osiągnięcia.

— A co robią dentyści?

— Wielu z nich pracuje przy produkcji żujących szczęk. Henry Ford VI zaopiekował się nimi i pomógł zdobyć nowe kwalifikacje. Na przykład Mr. Mark Gable — powiedział mer, wskazując na siedzącego obok mnie mężczyznę lat około pięćdziesięciu. — On również chciał kiedyś zostać dentystą, a teraz jest jednym z bardziej popularnych donorów i jednocześnie jednym z najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych.

— O! — krzyknąłem ze zdumienia. — A co on robi?

— Ponad milion chłopców i dziewcząt w Ameryce — to jego potomstwo. Zapotrzebowanie ciągle wzrasta...

— Pan chyba jest bardzo zajęty, Mr. Gable — powiedziałem.

Mr. Gable zaczerwienił się, a mer zaczął się śmiać.

— Mr. Gable ma żonę i jest bardzo szczęśliwy. Miał dwadzieścia lat kiedy został donorem. Muszę panu powiedzieć, że u nas nie ma takiego prawa, które by zabraniało kobiecie mieć dzieci ze swoim mężem. W ten sposób rodzi się nie więcej niż piętnaście procent dzieci w naszym kraju, jednakże większość kobiet woli aby ojcem był jeden z donorów.

— W jaki sposób dokonują wyboru? — zainteresowałem się.

— Przecież w prasie, w telewizji i w kinie publikuje się ich zdjęcia. Istnieje też moda na donorów. Oczywiście, prawie wszyscy są milionerami. W tej chwili jeden spermatozoid Marka Gabla kosztuje tysiąc dolarów, chociaż zupełnie przyzwoity spermatozoid można kupić również za sto dolarów. Majątek Mr. Gabla jeszcze długo będzie wzrastał.

— Zarobiłem bardzo dużo pieniędzy — zwrócił się do mnie Mr. Gable. — Proszę sobie wyobrazić, że nawet palcem nie ruszyłem. Wszystko samo przyszło. Teraz chciałbym część pieniędzy przeznaczyć na cele dobroczynne. Chcę zrobić coś, co uszczęśliwiłoby ludzkość.

— A może przeznaczyłby pan te pieniądze na rozwój nauki?

— Nie — odparł Mark Gable. — Wydaje mi się, że nauka i tak zaszła zbyt daleko.

— Ma pan rację — zgodziłem się. — Może wobec tego zrobi pan coś dla jej regresu?

— Chętnie — ucieszył się Gable. — W jaki sposób?

— Bardzo łatwo. Proszę przeznaczyć fundusz w wysokości trzydziestu milionów dolarów rocznie, a następnie wyznaczyć stałe stypendia dla najzdolniejszych naukowców, którzy wejdą w skład pańskiego komitetu. Najlepsi z nich będą przewodniczącymi komórek komitetu w różnych częściach kraju. Musi pan też wyznaczyć nagrodę sto tysięcy dolarów za najlepszą pracę naukową roku. To wszystko.

— Nie rozumiem w jaki sposób na taki cel przeznaczone pieniądze mogą służyć regresowi w nauce?

— Bardzo prosto. Najlepsi naukowcy porzucą swoje laboratoria i zajmą się papierkową pracą w komitetach, w których będą rozpatrywane podania o stypendia. Naukowcy, którzy znajdują się w złych warunkach materialnych wytężą wszystkie siły aby zdobyć upragnioną nagrodę i dlatego początkowo należy oczekiwać wzrostu poziomu nauki, ale w pogoni za łatwym sukcesem nauka zacznie upadać. Będzie przypominała salonową grę. Powstanie moda, a c uczeni, którzy będą tworzyli w myśl mody— otrzymają wysokie stypendia. Inni uczeni ich nie otrzymają, ale po pewnym czasie i oni nauczą się robić to co każe moda.

— Niech pan zostanie z nami — prosił Mr. Gable. — Pomoże mi pan w uruchomieniu fundacji.

— Zrobię to z przyjemnością. Już za kilka lat zobaczymy owoce naszego planu. Jestem święcie przekonany, że wszystko nam się uda. Naturalnie, mogę kilka lat u was pożyć, aby potem zasnąć i obudzić się za trzysta lat.

— Pan chce jedynie pomóc w urzeczywistnieniu planu i nie ma pan zamiaru zostać z nami do końca życia? — spytał mer.

— Tak. To co zobaczyłem u was przeraziło mnie. Chodzi mi o postęp w nauce. Proszę sobie wyobrazić co będzie za dwieście lat. Aż strach pomyśleć. Dlatego chętnie pomogę w realizacji planu Mr. Gabla, a jeżeli uda nam się ten postęp zatrzymać, sądzę, że za dwieście lat świat będzie zupełnie przyjemnym i nadającym się do życia miejscem. A jeżeli się nie uda? Wtedy zostanę u was w dwudziestym pierwszym wieku. Czy znajdzie się dla mnie jakaś praca?

— Praca? — oburzył się mer. — O panu w tej chwili wiedzą w całej Ameryce, a sławny człowiek nie musi pracować.

— Skąd wezmę środki do życia?

— Na przykład, może pan zostać donorem. Przecież pan jest lekarzem, a wiele jest takich matek, które marzą o tym by ich dzieci miały zdolności naukowe.

— Nie wiem jeszcze, ale chyba się do tego przyzwyczaję...

— Na pewno — powiedział mer. — A gdyby pan chciał pozbyć się zębów, mam znakomitego chirurga. To dr Smith. On wyrwał zęby wszystkim moim dzieciom...

— Jestem panu bardzo wdzięczny — uśmiechnąłem się, a jednocześnie starałem się zdusić narastające we mnie uczucie rozpaczy. Zawsze bałem się dentystów, którzy wyrywali albo leczyli mi zęby. I nagle zrozumiałem, że teraz nawet najpotężniejsza nauka świata nie pomoże mi wrócić do dwudziestego wieku.

Tłumaczył: R.G.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

STO LAT!

Od rana dzwonią telefony. Wszystkie linie w mieście bez przerwy zajęte, kwiaciarnie sprzedały już wszystko prócz wieńców z blaszanych liści dębowych, w sklepach „22 Lipca" kolejki jak stąd do mostu. Wyprzedane komplety do strusich jaj na twardo, popielniczki, gustowne choć przeciekające jak gąbka wazony w kształcie rachitycznych pelikanów, naszyjniki z ziarenek łubinu i pestek od śliwek, plastikowe notesy i portfele — wszystkie wyroby drobnego przemysłu zbędnego, nadające się na odfajkowanie upominku dla solenizanta czy solenizantki.

Po południu co trzeci pasażer w tramwaju chwieje się bardziej, niż by to wynikało z prawa bezwładności, przechodnie na ulicach opierają się o ściany i śpiewają lub płaczą. O północy rozespane dzieci ciągnięte za ręce przez śpieszących się nagle rodziców, wracają do domów, pierwszy raz biorąc czynny udział w nocnym życiu wielkiego miasta. Kataklizm.

Najgorszy chyba dla nas, Polaków, jest maj i czerwiec. Pensje takie jak zawsze, premii dodatkowych nie dają, marną pożyczkę trudno w odpowiednim momencie otrzymać, a i to wymagają później, żeby ją spłacać. Zaciskamy pasa i zęby, liczymy i liczymy te ostatnie sto złotych bilonem, a tu jeszcze Władysław, jeszcze Piotr i Paweł, jeszcze dresy dla syna na obóz. Niełatwo dojść, kto za dużo wydał: mąż czy żona. Zanim się sprawa wyjaśni, pęka parę talerzy, strony dowiadują się o sobie rzeczy całkiem niemiłych, dzieci uciekają na podwórze i z wielkiej frustracji tłuką sąsiadom szyby. Pod wieczór jednak wracają grzecznie, ojciec już ogolony, mama kończy odkręcać papiloty, idziemy na następne imieniny.

Uroczystości — genetycznie biorąc — raczej prywatne, stały się od dawna instytucją taką samą, jak święto kobiet, dożynki i Sylwester. Należałoby nawet tak je nazwać: Dzień Zofii, Dzień Jana, Dzień Stanisława. Tyle świąteczności wisi w powietrzu, że ani w szkole się uczyć, ani w biurze pracować. Sto lat — śpiewamy, całując się i pijąc kawę. Sprawy pilne przestają być pilne, klienci na poczcie, widząc kwiaty w okienku urzędniczki, nie śmią już prosić o znaczek za dziesięć groszy — „dużo szczęścia, panno Jadziu" — mówią i odchodzą pełni ciepłych uczuć, tak samo w przychodniach, biurach, kasach, bankach i spółdzielniach.

Zazdroszczę bliźnim, noszącym jedno z tuzina popularnych w kraju imion. Mają swój Dzień, jak górnicy, mają nieomal Kartę Władysława, Marii i Janusza. Do Barnaby pies z kulawą nogą nie zadzwoni, nikt w mieście nie zauważy, że Barnaba obchodzi imieniny. Biedna Zefiryna nawet w dzień swych imienin nie pocałuje się z setką przystojnych kolegów z tej samej zmiany. Dlaczego taka niesprawiedliwość, czy w Zefirynie i Barnabie nie biją takie same ludzkie serca, jak w Andrzejku i Danusi?

Ktoś powinien się tym zająć. Rozplanować jakoś imiona, przydzielać je uczciwie nowo narodzonym obywatelom. Nasycić kraj równomiernie Mariolkami i Krzysiami, bez uprzedzeń regionalnych, bez preferacji tej czy innej grupy zawodowej.

Tylko wówczas mielibyśmy nareszcie święto przez cały okrągły rok.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam.1749.VII.65. N-3